№ 6. Warszawa, dnia 28 Stycznia (9 Lutego) 1878 roku.



TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kop. 80.—Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2 kop. 50. Numer pojedynczy kop. 15. Przedpłata dla GALICYI wynosi we LWOWIE w księgarni GUBRYNOWICZA i SCHMIDTA kwart. w miejscu zlr. 3. na prowincyi z przesyłką pocztową zlr. 3 c. 80. W KRAKOWIE w księgarni GEBETHNERA i S-ki kwart. w miejscu zlr. 2 c. 75 na prowincyi zlr. 3 c. 50.—w POZNANIU prenumerować można w księgarni LEITGEBERA i S-ki kwart. w miejscu prenumerata wynosi marek 5, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie, przy ulicy Elektoralnej Nr 779 (nowy 41).

Wydawnictwo jubileuszowe

powieści J. I. Kraszewskiego.

W zeszłym roku podaliśmy obszerniejszą wiadomość, o powziętym zamiarze przez redakcyą Tygodnika Illustrowanego, wydania pod kierunkiem odpowiedniego komitetu, piętnastu tomów wyboru pism tego genialnego pisarza, a to w celu uczczenia półwiekowej jego działalności, której jubileusz w roku 1879 przypada. Redakcya Kłosów tą samą powodowana myślą, ułożyła plan wydania zbiorowej książki złożonej z prac jedynie mówiących o szanownym Jubilacie, czy jako poecie, czy historyku, archeologu, powieściopisarzu, dramaturgu, czy jako o obywatelu kraju lub zupełnie prywatnym człowieku.

Oba te wydawnictwa przeznaczono na jego wyłączną korzyść, mając niepłonną nadzieję, że kraj szanujący zawsze prawdziwą zasługę, w licznych zapisach prenumeraty da dowód, że stara jego poczciwość nie wygasła, że umie czcić wielkich a wielbić zasłużonych.

I. J. Kraszewski pod obu temi względami zasłużył na cześć dla niego gotującą się: jest wielkim pisarzem bo z pod pióra jego wyszły tak wielkie i liczne prace, że stał się nawet znanym uczonemu światu całej Europy: jest pisarzem niezmiernie pożytecznym, bo z książkami przez siebie przygotowanemi, potrafił się wcisnąć wszędzie zarówno do bogatego salonu jak ubogiej izdebki. A niemała to zasługa! Już to jedno a nadałoby mu niezaprzeczone niczem prawo do ogólnej kraju wdzięczności. Książka to potęga z niczem nieporównana, gdzie ona wchodzi tam człowiek powstaje, ocyka się duch z uśpienia i społeczność zyskuje jednostkę zaczynającą pojmować godność swoją i prawa jej przynależne. Działanie jej powolne z pokolenia przechodzące na pokolenie, ale niezachwiane i niepowstrzymane niczem, co chwila potęgujące się, wzmagające, rosnące, prawda w niem coraz dłuższym promieniem zatacza koło swojego zbawiennego wpływu, wydobywa się coraz jaśniej z pod pleśni i pyłu czasu, tryska iskierką w największej ciemnicy, oświeca, uczłowiecza, i im więcej przysparza ludzi społeczności, tym życie jego więcej zbliża do ideału przed wieki utworzonego. To co gdzieindziej dla upowszechnienia książki robią instytucye odpowiednie i stowarzyszenia, to zrobił u nas w większej części sam I. J. Kraszewski. Książki jego znalazły wszędzie gościnne przyjęcie i imię swe zapisał w sercach wszystkich niestartemi zgłoskami, obudzając uwielbienie które pielęgnować będą z jedną zawsze czcią najdalsze pokolenia.

Kraj zrozumiał tę zasługę Szanownego Jubilata i na odezwę komitetu Tygodnika Illustrowanego zapowiadającą piętnastotomowe wydanie wyboru pism jego, pośpieszył z zapisami prenumeraty w tak wielkiej ilości, iż okazało się niepodobieństwem ogłaszanie, jak to pierwotnie zamierzono, nazwisk tych wszystkich, którzy śpieszą ze wszystkich stron złożyć w ten sposób hołd uznania i wdzięczności czci najgodniejszemu pisarzowi. Lista więc ich całkowita dołączoną zostanie dopiero do ostatniego tomu wydawnictwa. Tom pierwszy, którego druk w tych dniach będzie ukończony, obejmie *Rzym za Nerona* oraz *Pamiętniki Mroczka*, dwie prace, jak powiada Gazeta Warszawska, nader rozmaite co do osnowy i tonu, ale tem sobie pokrewne, że z oryginalnej formy i filigranowego wykończenia należą do najcelniejszych utworów Kraszewskiego. *Rzym za Nerona*, to niby żywe rozdziały Tacyta, przelane w formę listów niby w kształt dzwonu strojnego cyzelunkiem najznakomitszego rylca. Głęboka znajomość ducha czasu najpodlejszego w dziejach, siła idei ożywiającej chrześciańtwo i mającej odrodzić Europę, zwięzłość prawdziwie rzymska w wypowiadaniu myśli, jaśniejąca szczególniej w listach Juliusza Flawiusza wypełniających większą połowę książki, styl nawet, nieupstrzony archaistycznemi wyrazy i zwroty, ale w doborze samych wyrazów i w składni łudzący pozorami rzeczywistego tłomaczenia z łaciny, wszystko to zlewa się w całość harmonijną nadobną i podnoszącą serce. Jedyny to może u nas przykład pracy, w której niemal do przesady drobnostkowa znajomość archeologii klasycznej i katakumbowej, nie więzi polotu wyobraźni, nie koślawi myśli i nie odejmuje utworowi artystycznemu owej niezwiędłej świeżości, bez której nie ma dzieła sztuki. Drugie dzieło: *Pamiętnik Mroczka*, to znów świat całkiem inny — świat niby żywcem wyskakujący z kart niezrównanych pamiętników JMPani Jana Chryzostoma na Gosławicach Paska, o którego czasy potrąca, do którego znajomości i koligacyi się przymawia. Dobroduszność robiąca wielkie rzeczy z małych a wielkie wystawiająca zwykłemi, gadatliwość łakomej starości, zbywająca kilku wierszami niedolę własnej matki, a roztkliwiająca się na całej stronnicy nad niedolą koni zmuszonych po gołoledzi pędzić po obiecujący spadek, mierzenie spraw krajowych piędzią własnego interesu, a własnych potrzebek skalą spraw stanu, słowem znajdujemy tu świat sprzeciwieństwa z owymi pierwszymi chrześciany w poprzedniej powieści. I złe i dobre, i postępki i mowa tak tu różne, że rozmyślne szukanie kontrastu nie zrobiłoby więcej nad to, co zrobił tu prosty wypadek, kładąc obok dwa dzieła na podstawie obliczenia takiej a takiej ilości arkuszy. Pierwszego tego tomu postanowiono drukować 8,000 egzemplarzy, w miarę jednak zwiększania liczby przedpłacicieli, nakład cały powiększony być może. Delegacya, czuwająca nad materyalną stroną wydawnictwa, przeznaczonego wyłącznie na korzyść Jubilata, miała sobie przedstawione w ogólnym

obrachunku koszta papieru, druku, satynowania i broszurowania, po potrąceniu których to kosztów, reszta ofiarowaną będzie I. J. Kraszewskiemu. Na naradach tych, jak donosi Tygodnik Illustrowany, postanowiono, zaraz po pokryciu tych kosztów, napływającą gotówkę, jako stanowiącą zysk czysty, zamienić na papiery procentowe i złożyć je do depozytu Banku Polskiego, na rzecz Dostojnego Jubilata.

Redakcya nasza chętnie podejmując się pośrednictwa w przyjmowaniu prenumeraty, zaraz doręczać ją będzie komitetowi zajętemu wydawnictwem; a napływa ona żwawo nietylko z rozmaitych okolic Królestwa i pobliższych gubernii Cesarstwa: z Krzemieńca, Kijowa, Słonima, Połoneczki, Śmiły, Żytomierza, Kowna, Wilejki, Berdyczowa i t. p. ale i z okolic nader dalekich: z Petersburga, Woroneża, Tambowa, Kazania, Kunguru, Petrozawodzka, Tyflisu... Świadczy to, że gdziekolwiek czytają po polsku, wszędzie rozkwita pragnienie uczczenia święta I. J. Kraszewskiego.

Cena przedpłaty na piętnaście tomów z przesyłką pocztową wynosi rs. 9.

Obrazki Warszawskie

ułożone w trzech tomach

PRZEZ

Jana Kantego Gregorowicza

ofiarowane

Autorce Kroniki zagranicznej w Bibliotece Warszawskiej

(Dalszy ciąg).

Rozdział XIV.

Zosia nie była chorą, miała pilne bardzo w domu zajęcie, choć więc późno wybiegła z domu i minąwszy most weszła na wał idący nad Wisłą. Ludzi kręciło się dosyć, dziewczka nie zważała na nich, biegła coraz bardziej przyspieszając kroku, nagle przystanęła.

O kilkadziesiąt kroków stał na wale młody człowiek, najwyżej lat dwadzieścia kilka mający, miłej i wielce pociągającej powierzchowności. Starannie ale skromnie ubrany, przechadzając się czasami przystanął i dumając wpatrywał się w szumiące fale Wisły, albo w jej brzeg przeciwny ożywiony ruchem miejskiego gwaru. Zwrócony plecami do idącej Zosi nie był przez nią widziany, gdy jednak odwrócił się cokolwiek, dzieweczka rzuciwszy na niego spojrzenie, zarumieniona lekki wydała okrzyk i posuwając się zwolna, aby się lepiej przypatrzeć młodemu człowiekowi, nie spuszczała go z oczów. Młodzieniec nie zwrócił na nią najmniejszej uwagi, stał i dumał, Zosia zrównała się z nim szepcząc w myśli:

— Jakże podobny.... gdyby tu mógł się znajdować, byłabym pewną że to...

W tej chwili nieznajomy zwrócił się ku mostowi, młodzi spojrzeli na siebie.

— Zosia! zawołał młodzieniec przybiegając do dzieweczki i ujmując za rękę wpatrzył się w nią z uczuciem niewysłowionego szczęścia.

Drżały mu usta, błyskały oczy i tuląc do piersi rękę dziewczęcia mówił drżącym ze wzruszenia głosem:

— Zosiu! czyż to być może... czyż mogłem się spodziewać... ty w Warszawie... Boże mój!

— Mój drogi... szeptała Zosia patrząc w młodzieńca oczami w których perliły się łzy gdy uśmiech buzię ożywiał. Jakżem szczęśliwa...

I między młodemi rozpoczęła się rozmowa żywa, urywana, bez związku, przez nich tylko zrozumiana, w której myśl wyprzedzała słowa, a w jednem spojrzeniu, w jednym uścisku ręki, mieścił się cały skarb uczucia przejmującego ich serca. Świat znikł dla nich, przeszłość i przyszłość skupiły się w jednej chwili, w obecności; widzieli siebie, cieszyli się swoim widokiem, zdawało się im że opromienieni szczęściem nic nie pragną, nic im nie dolega, że spotkanie to całą jest dla nich wiecznością z którą już nigdy się nie rozstaną.

— Boże, mój Boże! mówił młodzieniec, czyż mogłem się spodziewać, że cię dziś ujrzę tak niespodziewanie i to w Warszawie. Cóż tu porabiasz moja Zosiu?

— I ja nie przypuszczałam nigdy, że się tu z sobą spotkamy.

— Oh! przebyłem męki, alem dziś wolny, jestem panem siebie, wszystko przebyłem i wszystko pokonałem.

— I ja byłam bardzo, bardzo nieszczęśliwą...

— Biedaczko moja kochana, domyślam się tego. Bawiłam u ciotki...

— Nie wiedziałem że masz tak blizką krewnę.

— I ja o niej mało wiedziałam...

— To teraz już nie jesteś u niej?

— Nie, i od kilku miesięcy mieszkam przy kochanym wuju Prosperze, zajmującym się handlem ptakami i drobnem kramarstwem.

— Musi to być dobry człowiek...

— Jest dla mnie drugim ojcem, odrzekła Zosia z czułością.

— Musisz mnie z nim zaraz zapoznać...

Zosia obejrzała się z wielką obawą.

— Gdyby nas zobaczył... gdyby dowiedział się....

— Więc i on także! zawołał Bolesław uderzając się w czoło z wyrazem wielkiej niecierpliwości czy pognębienia. Prawdziwie, ci ludzie doprowadzą mnie do szaleństwa...

— Uspokój się mój drogi, przerwała Zosia, widząc że młodzieniec aż zapłonął z oburzenia. Wuj wie wszystko....

— Tym więc bardziej, dziwactwo jego niepojęte gniewa mnie...

— On tak uczuł nasze nieszczęście...

— Nie z mojej wyniknęło winy...

— Tak... jednak mnie i ciebie wszyscy potępiają i powiadają...

— Moja Zosiu, nic nie zważaj na ludzkie gadaniny, przerwał młodzieniec i tuląc drobną rączkę dzieweczki mówił dalej: kocham cię całą moją duszą i Bóg moim świadkiem że cię nigdy kochać nie przestanę. Usunę wszystkie przeszkody, zwalczę wszystkie trudności, odsunę się od wszystkich a ciebie się nie wyrzeknę, bo bez ciebie co mi po życiu...

Zosia ze wzruszenia głosu nie mogąc wydobyć z piersi, zaszemrała coś niewyraźnie, oczy wzniosła w górę a młodzieniec mówił dalej:

— Wszakże nic od nikogo nie żądam, nic nie domagam się i jednego tylko pragnę, aby mnie ludzie wypuścili z opieki i nie zaprzeczali wolności tak każdemu przynależnej. Tymczasem jak na złość, jedni bronią mi jej uważając za głupca, drudzy przez jakiś niepojęty dla mnie obłęd.

— Cóż dziwnego, odezwała się Zosia głosem o ile mogła najłagodniejszym pragnąc choć cokolwiek uspokoić rozgniewanego młodzieńca. Wuj mój znając wszystkie okoliczności...

— Więc cóż z tego? przerwał młodzieniec porywczo. Czyż działam podstępnie? Czyż życzenie mego serca trzymam w tajemnicy? Czyż nie jawnie mówię, że cię moja Zosiu kocham i pragnę się z tobą ożenić?

— Wszystko to prawda mój drogi, odezwała się Zosia oczy spuszczając, ale wuj mój... nie wierzy tem zapewnieniom...

— Na tę niewiarę niczem nie zasłużyłem, ale ty mi wierzysz moja Zosiu...

— Tak, wierzę jak własnemu sercu...

— Kiedy ty wierzysz moja najdroższa, to i wuj twój uwierzy. Pójdę zaraz z tobą...

— W tej chwili nie można, muszę pójść do panien Mikłockich, u których uczę się krawieczczyzny.

— Ah! jakiż ja nieszczęśliwy z temi przeszkodami, co mnie zawsze od ciebie oddalają.

— I ja równie cierpię, odrzekła Zosia zarumieniona.

— Porzuć wszystkie jakieś panny Mikłockie, jakieś krawiectwa i nauki moja Zosiu kochana, podaj mi rękę i zaprowadź do swego wuja, któremu muszę koniecznie klin wybić z głowy i przekonać go.....

— Byle nie dziś mój drogi, przerwała Zosia z obawą. Jutro...

— Nie, Zosiu, dziś i to natychmiast, a pragnę tego nie przez upór lub samowolę, ale z bojaźni o ciebie...

— O mnie?

Młodzieniec obejrzał się w koło czy go kto nie podsłuchuje i potem bliżej przysunąwszy się dodał: tak, o ciebie moja Zosiu. Gdyby dowiedziano się o naszem spotkaniu, przygotowanoby może drugą podobną awanturę jaką już przebyliśmy...

— Oh! z największą trwogą przerwała Zosia, nie strasz mnie?.. jabym jej nie przeżyła...

— Bądź spokojną! Dziś wolny i niezależny czuwać będę nad tobą a w Warszawie gwałtu niełatwo się dopuścić...

— Panu Bolesławowi dobry wieczór, odezwał się w tej chwili jakiś głos tuż przy rozmawiających.

Był to Mieczysław idący, jak się wyrażał Stanisław, na zwykłą wieczorną wyżerkę do państwa Mikłockich.

— Dobry wieczór, odrzekł młodzieniec z pewnym niepokojem spoglądając na Mieczysława.

— A! to panna Zofia, mówił dalej z szyderskim uśmiechem Mieczysław, nie wiedziałem nic że się państwo znacie.

— O! i od bardzo dawna, objaśnił Bolesław cokolwiek pomieszany.

— Nie przeszkadzam, nie przeszkadzam, mówił dalej Mieczysław i ukłoniwszy się z przesadzonem uszanowaniem poszedł dalej.

Bolesław zamyślił się i ze zmarszczonem czołem chwilę stał w milczeniu patrząc bacznie za odchodzącym.

— Niemiłe spotkanie, szepnął po chwili Bolesław z westchnieniem, a nawet lękam się czy nie będzie niebezpieczne. Chodząca to plotka, o spotkaniu nas opowie wszystkim, a przede wszystkiem towarzyszowi swemu z którym mieszka Stanisławowi, a ten roztrzęsie wiadomość tę po całej Warszawie.

— To znasz i Stanisława?

— Znam na moje nieszczęście, ale go unikam, bo arcy ciekawy, radby wszystko wiedzieć z natręctwem które mnie raz prawie do niecierpliwości doprowadziło.

— To niedobry człowiek, nie lubię go jak i Mieczysława...

— O! moja Zosiu, jakże się we wszystkiem zgadzamy, nawet w sądzie o ludziach. Nie lubię i ja obydwóch, wyzuci są ze wszystkiego, co tylko stanowi godność prawdziwego człowieka.

— Prawda mój drogi...

— Nie mówmy o nich, ale się strzeżmy, tak mi

mówi przeczucie jakieś niepojęte, dziwny wstręt w tej chwili szczególniej powstały...

— Cóżbyśmy mieli się ich lękać?

— Nie wiem ale cię już dziś nie odstąpię, odprowadzę do wuja, rozmówię się z nim, bo inaczej zginąłbym z obawy i z niespokojności.

— Niechże się stanie jak pragniesz, ale dla zabezpieczenia się od wszelkich podejrzeń, musisz mnie odprowadzić do państwa Mikłockich, tam cię przedstawię jako znajomego od lat dziecinnych...

— To niepodobieństwo, przerwał porywczo młodzieniec. Przede wszystkiem muszę cię uprzedzić, że nie nazywam się Władysławem tylko Bolesławem...

— Bolesławem?

— Tak, Bolesławem, i że żyję w wielkiem odosobnieniu, unikam ludzi i czasem tylko przychodzę na zebrania tutejszej młodzieży, nieznany nikomu, z któremi teraz zerwę zupełnie, gdym ciebie znalazł moja najdroższa. Udać się więc do jakichś panien Mikłockich nie mogę, bo kto wie kogobym tam spotkał.

— Przerażasz mnie mój drogi, taka tajemniczość...

— Jest konieczną moja Zosiu, później wszystko ci wytłomaczę, dziś nie ma na to czasu a przynajmniej w tej chwili. Wierz mi tylko...

— Wierzę zupełnie, mimo tego przed państwem Mikłockiem muszę się usprawiedliwić. Mieczysław powie o spotkaniu nas, mogliby...

— Masz słuszność, język u niego i kolący i plugawy, pójdźmy więc, ale pod warunkiem, że tylko chwilkę zabawimy...

— Tak, tylko chwilkę.

Młodzi zwrócili się ku Pradze w stronę mieszkania panien Mikłockich i nie spiesząc się wcale, przystawając, dalej prowadzili przerwaną rozmowę.

Najpierwszym z gości przybywających do rodziny Mikłockich był Mieczysław z nosem spuszczonym, bo go znowu spodziewana posada minęła. Frania wycierająca kurze w pokoju, do połowy dopiero ubrana, drapnęła do kuchenki jak oparzona.

— Co to się stało że panie jeszcze nieubrane? zapytał Mieczysław spoglądając na zegarek. Już siódma dochodzi, kiedyż więc będzie herbata?

Mieczysław od chwili oświadczenia się przybrał ton pewnej poufałości i o ile mógł burmistrzował jak we własnym domu. Klarka przyzwyczajona do bezograniczonej uległości matki i siostry, nie lubiła tego i równie szorstko starała się dać uczuć swoje niezadowolenie. Ztąd powstawała mała zwada, Mieczysław nazrzędziwszy się i nagadawszy milknął, Klarka siedziała zadąsana i dopiero po pewnej chwili gdy się Mieczysław wysapał, starała się go rozczmychać kłopotami nawału roboty, koniecznością przeniesienia się do Warszawy i przyjęcia kilku pracownic do pomocy. Był to najpewniejszy środek ułagodzenia narzeczonego, używała go też z wielką szczodrobliwością i zawsze z pożądanym skutkiem a gdy przy herbacie podsunęła jeszcze raz i drugi talerzyki suto napełnione, harmonia wracała zupełna i Mieczysław rozweselony myślał sobie:

— Cięta sztuka, języczek ma ostry, ale to nic nie szkodzi. Przytępię go gdy zostanę mężem, a z takich zaradnych panien najlepsze bywają żony. Niech teraz burczy, to jej czas panowania, później musi tańczyć jak ja jej grać będę.

Kiedy więc Mieczysław objawił niezadowolenie z opóźnienia ubrania się panien, a tem samem i herbaty której dość łaknął, Klarka zaraz odrzekła niepokazując się z kuchenki.

— Ah! jaki z pana żarłok, o niczem nie możesz myśleć tylko o jedzeniu.

— O czem myślę, to ja wiem, a jeźli wspomniałem o herbacie, to jedynie dlatego, że nie lubię nieporządku.

Klarka poruszyła się, już miała na ustach przygotowaną odpowiedź, że pamięć o porządku domowym do nich wyłącznie należy, że łajać za opóźnienie spowodowane nawałem roboty sama delikatność nie pozwala, ale przygryzła usta i nic nie odpowiedziała. Dziś na zwadę nie było czasu, a zamierzonem zajęciem się dwoma podżyłemi kawalerami w obecności już zdeklarowanego konkurenta, lękała się niezadowolenie Mieczysława posunąć do ostateczności. Byłby to olej do ognia dolany, a tego lękała się, aby powstały ztąd płomień, nie spalił ułożonego z tak wielkim mozołem małżeństwa.

— Ten już jest pewny, pomyślała sobie, a z tamtemi nie wiem jeszcze jak będzie. Gdybym go pogniewała byłby baczniejszym, mógłby domyśleć się, trzeba więc udać że gburowatość tego patyka uszła mojej uwagi i starać się wprowadzić go w jak najlepszy humor.

Wyszeptawszy to, Klarka nadsłuchała przy drzwiach z przyłożonem uchem: Mieczysław mrucząc przechadzał się po pokoju, bo był zły i głodny.

— Panie Mieczysławie, odezwała się po chwilce o ile mogła najsłodszym głosikiem: przygotowałam dla pana niespodziankę, która wiem że pana zadowolni.

— Cóż to takiego?

— Oto kupiłam prześlicznych rybek, które pan tak lubi.

— Rybek pani kupiła? ah! jak to dobrze, myślałem o nich.

— A ja to przewidziałam, widzisz pan jak o nim pamiętam, chociaż już nieraz zburczoną zostałam o nieład i nieporządek...

— Przepraszam... przykro mi...

— Jeden szczupaczek cały dla pana przeznaczony...

— Cały szczupaczek! odrzekł Mieczysław oblizując się, jakże pani dobra, jak pamiętna. Jeszcze raz przepraszam, ale dziś zmartwiony jestem ominięciem spodziewanej posady, a w takich razach...

— Bądź pan spokojny; dziś będzie u nas pan Anzelm, wezmę go więc w obroty i poproszę o protekcyą, a on ma bardzo liczne stosunki.

— Czy i pan Bonawentura także przyjdzie, bo zwykle jak cień za nim się włóczy.

— Będzie i pan Bonawentura.

Mieczysław zmarszczył brwi i mruknął do siebie:

— Masz tobie! Pewno ze szczupaczka łeb mi się tylko dostanie, ale nie dam się byle czem skwitować i upomnę się bez ceremonii o to co mi przyrzeczono.

— Co pan mówi? spytała Klarka. Czy nie cieczysz się spodziewanem zyskaniem protekcyi pana Anzelma?

— Wszystkiem się cieszę a najwięcej dobrocią pani, ale i ja mam donieść paniom pewną niespodziankę...

— Cóż takiego? cóż takiego? zapytał chór trzech kobiet z po za drzwi do kuchni prowadzących.

— Oto spotkałem na wale pannę Zofią bardzo czule rozmawiającą ze znajomym mi młodym człowiekiem...

— Z młodym człowiekiem! krzyknęły obie panny z oburzeniem.

— Tak, z młodym człowiekiem i jak powiadam, bardzo czule.

— Cóż to za jeden?

— Nazywa się Bolesław, ale czem jest i z jakich stron tego nie wiem zupełnie. Jakaś bardzo tajemnicza figura. Z miny panicz, z ubioru chudeusz, a z mowy dziwak i straszny zacofaniec. Posiada podobno znaczne fundusze.

Na wzmiankę o znacznych funduszach Klarce aż się oczy zaiskrzyły.

— Ah! pomyślała, gdyby go można było dla mnie złapać!

— A czy kawaler? spytała pani Mikłocka wysuwając głowę, gdyż wiedziała że to córki najbardziej obchodzi.

Klarka szarpnęła ją ku sobie i drzwi przymknęła ledwo że nie razem z nosem; Mieczysław spochmurzył się, bo wszelkich nowych przybyszów, szczególniej kawalerów nienawidził. Z tytułu tego zaszło nawet pewne pomiędzy nim a Klarką nieporozumienie, która, wiedząc że od przybytku głowa nie boli, dawnym zwyczajem kawalerów zawsze wabiła do domu. Mieczysław oparł się temu i to tak stanowczo, że zerwanie już wisiało na włosku. Klarka ustąpiła ale rozdrażnienie nie zatarło się i Mieczysław poczynał być zazdrosnym.

Usłyszawszy zatem zapytanie w kwestyi tak dla niego drażliwej, zmarszczył się, chrząknął i przyglądając się w lustrze swej śpilkowatej postaci odrzekł gburowato:

— Tak jest pani, Bolesław jest kawalerem, ale sądzę że ta wiadomość powinna już bydź obojętną dzisiaj zarówno dla panny Klary jak i panny Franciszki, chyba że pani chce dla siebie trzeciego ułowić.

— A to bardzo grzeczna odpowiedź, odezwała się Klarka na prawdę już rozgniewana. Gdybym nie znała wykształcenia pańskiego, to sądziłabym że się odezwał jakiś młokos z wstępnej klasy a nie człowiek ozdobiony patentem uniwersyteckim.

— Ale bo podobne pytanie, odrzekł Mieczysław połechtany pochwałą swego wykształcenia, już mi kością stoi w gardle.

Pani Mikłocka chciała powiedzieć, że w takim wypadku połknięcie chleba w grubych kawałkach najlepiej skutkuje, ale Klarka nie pozwoliła się jej odezwać i szarpnęła matkę za burnus z kapy przygotowany tak silnie, że aż Frania zawołała:

— Klarciu, szarpiesz matką jak lalką.

— Raz tylko w życiu miałam lalkę, odezwała się wzdychając pani Mikłocka, ale drugiego już dnia głowę jej ukręcił Amorek. Co to było śmiechu.

Klarka podniosła ramion i zwracając się do Frani rzekła:

— Nie dość że z biedą naszą mam tyle kłopotu ale i z wami Ty Franiu to kubek w kubek jesteś jak matka.

— Klarciu, odezwała się pani Mikłocka kiwając głową z oburzeniem, jakże możesz Franię nazywać matką? Gdyby kto usłyszał broń Boże...

Klarka kiwnęła ręką i głową i zwracając się ku drzwiom rzekła:

— Matka nasza, zapytała o tego jakiegoś pana Bolesława, jedynie przez szczególną troskliwość o Zosię.

— Być może, mruknął Mieczysław, zawsze to jednak... irytuje... ale sądzę że go panie nawet poznacie, bo widziałem że pannę Zofią wziął pod rękę i skręcił w stronę pomieszkania państwa. Zapewne więc ją doprowadzi do samego progu.

Dalszą rozmowę przerwało wejście Antoniego. Mieczysław patrzył na latające koło siebie muchy żałując, że nie są upieczonemi już kurczętami. Na zapytanie o panny wskazał na drzwi dodając z przekąsem, że się stroją i nie mogą się wystroić. Antoni podbiegł ku nim i ruszywszy klamką rzekł z największą radością.

— Panno Franciszko, mam już mieszkanie! Pokoik obszerny, śliczny i kuchenkę z przepierzeniem na przedpokoik. Dyrektor powiedział, że później dołączy drugi pokoik i że to mieszkanie daje mi w dodatku do pensyi, jako wynagrodzenie za pilność

i gorliwość w służbie. Podziękowałem mu serdecznie, bo czyż mogłem spodziewać się takiego szczęścia. Drugiego pokoiku zrzeknę się, bo co nam po tak obszernem mieszkaniu panno Franciszko, wszak prawda?

— Rób pan jak uważasz najlepiej.

— W miejsce pokoiku, poproszę o dodatek w pensyi, to będzie korzystniej...

— Głupiec! szepnął w myśli Mieczysław. Śliczne mi mieszkanie, dziura i dwie małe dziurki. Jak tylko dostanę posadę i ożenię się, pomieszkanie zastosuję do mego położenia. Tysiąc rubelków nie minie mnie, Klarka zarabia także tysiączek. Dochodzik ten ich dziś dość skromny, przy męzkiej głowie łatwo podwoję a nawet potroję, a wówczas wszystkie kłopoty domowe zleję na moją zaradną żoneczkę, a sam będę używać dostatku i wygódek których tak łaknę.

Przez czas tych myśli Mieczysława, Antoni opisywał szczegółowo przeznaczone dla siebie mieszkanie, jego wielkość, kształt, deseń malowidła zdobiącego ściany i widać było w każdem słowie jak szczęście przepełniało całą jego duszę. Frania czy podzielała radość swego narzeczonego, niewiadomo, znać tylko było że słucha, że ją opowiadanie zajmuje, gdyż zadawanemi pytaniami ciągle podtrzymywała rozmowę. Wreszcie zajęta była własnem ubraniem i matki i kiedy ją zupełnie wystrychnięto, obejrzano, obciągnięto i poprawiono, panny przypatrzyły się a Klarka rzekła:

— Ujdzie, i byle tylko matka dosiedziała w miejscu, to pan Anzelm z Bonawenturą nawet nie zwrócą uwagi. Mieczysław jednak troszkę mnie niepokoi, trzeba go mieć na uwadze aby się nie bardzo rozpatrywał.

— Mój wuj to bardzo lubił się rozpatrywać w ładnych dziewczętach.

— Mama nie jest ładną dziewczyną, to niech się tem nie kłopocze.

— Wiesz co Klarciu, odezwała się Frania, że patrząc na przystrój matki, na ten burnus podobny bardzo do ornatu, na kaptur czysto szpitalny, na falbanę przy spódnicy i na trepki na nogach, to razem śmiać mi się chce i płakać...

— Właśnie pora na to, przerwała Klarka wskazując na drzwi.

— Ja się o mego Antoniego nie boję. Uważałaś jak był uradowany kiedy mi o mieszkaniu rozpowiadał? To ujmuje...

— Zawsze pan Bonawentura lepsze przedstawia widoki i gdyby ci się oświadczył, to...

— Ach! Klarciu, jakże możesz coś podobnego przypuszczać...

— W walce o byt, tak sławionej przez Mieczysława, większej korzyści materyalnej oddaje się pierwszeństwo. Ale otóż idą pan Anzelm z panem Bonawenturą, Franiu posadź matkę na kanapie a ja pospieszę na przyjęcie naszych gości. Ah! jakże wyelegantowani!

Obaj podżyli kawalerowie byli w nowych kapeluszach i w świeżem letniem ubraniu. Peruka pana Anzelma świeciła się olejkiem migdałowym, wąsy zaś pana Bonawentury czerniły się starannie do góry zadarte. Pan Bonawentura śmiał się głośno, pan Anzelm tylko uśmiechał, ale to dostatecznie świadczyło o wesołem obu usposobieniu. Kiedy Klarka biegła naprzeciw gości zaledwie skinieniem ręki witając Mieczysława, który tem nieco obrażony, zwrócił się z niezadowoleniem do okna, Frania usadawiała matkę na kanapie, starając się ile możności ukryć wszystkie niedostatki jej dziwacznego ubrania skleconego na prędce jak na maskaradę.

Zdawać się to może nieprawdopodobieństwem, a jednak jest najrzeczywistszą prawdą, która w losie panien Mikłockich sprowadziła ważne bardzo następstwa.

Matka siadając syknęła i szepnęła do córki aby jej przyniosła poduszkę, ale Frania nie zważała już na to odszepnąwszy tylko pospiesznie, że nie ma w domu haftowanej poduszki a pierzane są bez powłoczki. Pani Mikłocka skrzywiła się, poprawiła się wyszukując starannie jak najdogodniejszego miejsca i wyprostowana czekała na powitanie wchodzących.

— Mama przez kilka dni cierpiała na ból zębów, odezwała się Klarka prowadząc gości ku kanapie, do kuczała jej przytem fluksya, dlatego musiałyśmy ją przybrać w ciepły kaptur aby się broń Boże nie zaziębiła.

Na wzmiankę o bólu zębów i fluksyi, pan Anzelm chwycił się za twarz, bo i on podlegał często tym przypadłościom, pan Bonawentura chrząknął i zatarł ręce, pani Mikłocka poruszyła się jakby chciała coś przemówić, a Klarka szepnęła otulając matkę:

— Niech tylko mama będzie uważającą, szczególniej z dykteryjkami...

Potem zwracając się do gości dodała żartobliwie:

— Aż mi się śmiać chce z mamy przystroju, ten kaptur taki zabawny...

Mieczysław wpatrzył się i założył na nos binokle.

— Co to jest? pomyślał sobie. Czysta mumia okręcona powijakami? Zkąd się wzięła choroba, kiedy wiem że była zdrowa jak szczupak dla mnie przygotowany.

Zaledwie goście zajęli wskazane sobie miejsca, bolejąc nad minionem cierpieniem pani Mikłockiej i zalecając ostrożność, drzwi na nowo się uchyliły i wytknęła z nich głowę Zosia mówiąc nieśmiało:

— Panno Klaro, proszę pani.

Klara wyszła do sionki i udając że nie zważa na stojącego Władysława, zapytała z powagą ochmistrzyni:

— Dlaczegóż tak późno przychodzisz?

— Miałam w domu zajęcie a później....

— Pan Mieczysław powiedział że cię spotkał....

— Racz pani, odezwał się Władysław podsuwając się ku Klarce i zdejmując kapelusz, racz pani wybaczyć pannie Zofii chwilową ze mną rozmowę. Jestem Bolesław z Wołynia, ojciec mój podawał ją do chrztu, znam ją od najmniejszego dziecka, uważam jak siostrę, a że rok prawie nie widzieliśmy się z sobą, spotkawszy przypadkiem nie mogłem wstrzymać się od chwilowej z nią rozmowy. Za to opóźnienie winę przyjmując na siebie, umyślnie odprowadziłem pannę Zofią aby ją usprawiedliwić i zarazem przedstawić się...

— To proszę pana do pokoju, matka moja wprawdzie była cierpiącą na ból zębów i fluksyę, ale obecnie zajęta jest gośćmi, a ona tu jest gospodynią domu.

Nie było rady, Władysław którego zwać dalej będziemy przybranem przez niego imieniem Bolesława, choć niechętnie wszedł do środka.

Z wejściem nowego gościa nastąpiło wzajemne przedstawianie się, każdy wstawał, kłaniał się mrucząc niezrozumiale: bardzo mi przyjemnie a Mieczysław o mało nie ugryzł się w język, tak mu powiększenie liczby osób do traktamentu nie spodobało się. Przy przedstawieniu Bolesława samej gospodyni, pani Mikłocka krygując się i wyginając z uśmiechem pełnym słodyczy, mruknęła niezrozumiale:

— Bardzo wdzięczni jesteśmy panu dobrodziejowi...

— Pan Bolesław, przerwała Klarka, odprowadził Zosię umyślnie aby się mamie przedstawić.

— Bardzo jesteśmy wdzięczni, mruknęła znów pani Mikłocka, ale Klarka zwróciła się w tej chwili do starych kawalerów i Mieczysława, matka więc frazesu nie dokończyła, tylko kilka razy poruszywszy głową, usta ściągnęła przystrojone uśmiechem.

— Jakże mama może, szepnęła Klarka korzystając z zajęcia gości rozmową, młodych ludzi nazywać dobrodziejami? To nie jest z dobrym tonem, nawet ubliżającym powadze mamy i jej wiekowi.

— Wuj mój powia...

— Otóż masz, przerwała Klarka z niecierpliwością. Że też mama nie może chwilki wytrzymać, żeby wuja popiołów nie poruszyć. Jeszcze przyjdzie kiedy w nocy i przestraszy nas wszystkich.

Pani Mikłocka wstrząsnęła się i chciała się przeżegnać, ale Klarka spiesznie schowała jej ręce pod burnus, zwracając uwagę że pod nim ma tylko kaftanik i spódniczkę. Potem pobiegła do kuchni, Zosię zasadziła do przygotowania ryb, Antoniego do zrobienia herbaty chętnego zawsze do niesienia posługi, a Franka do oczyszczenia talerzy, szklanek, nożów i widelcy. Rozporządziwszy to wszystko weszła do bawialni, zatrzymała się przy zegarze i poprawiła skazówki na szóstej uporczywie stojące.

— Ten Bolesław to jakiś bardzo przyzwoity człowiek, pomyślała sobie. Z Wołynia pochodzi a tam sami bogacze; Zosię powiedział że uważa jak siostrę, więc jej nie kocha, być może że dziewczęciu w głowie się przewróciło, ale gdzieżby on mógł myśleć o takim szturmaku ordynarnym!

I myśląc to w przechodzie spojrzała w lustro.

(d. c. n).

CZERWONY DOKTÓR.

(z opowiadań lekarza)

PRZEZ

Aldę de Gravas.

(Dalszy ciąg).

W bardzo skromnie umeblowanym saloniku, do którego Jakób wprowadził pana du Hamel, tenże nie zastał nikogo; czekając na przyjaciela zaczął chodzić po pokoju. Było w nim troje drzwi, te któremi wszedł i dwoje innych, naprzeciw siebie. Jedne były na wpół otwarte, pan du Hamel spojrzał przez nie bez myśli i nagle się zatrzymał. Wprost drzwi stało łóżko; kobieta jakaś siedziała przy niem na krześle i spała z głową wspartą na poduszkach, które przysunęła do brzegu. W pokoju panował półcień, gdyż okno zasłonięte było roletą, nie można więc było z daleka dobrze widzieć twarzy, bardzo białej, odbijającej od czarnych lśniących włosów.

Pan du Hamel przysunął się do drzwi i zaczął wpatrywać się w śliczną, pociągającą twarzyczkę. Pod koroną kruczych warkoczy, rysowało się białe, regularnie zarysowane czoło; brwi były czarne, lekko w łuk zagięte. Nosek mały i kształtny, nozdrza przezroczyste; usta nie zbyt małe, bardzo rumiane. Zdawało się że śpiąca musi być nizkiego wzrostu i szczupła.

Wiotka kibić zupełnie była pochylona, a głowa i szyja lekko wsparte na ręku, przywodziły na myśl łabędzie śpiące z głową schowaną pod skrzydło.

— Zapewnie córka jego, pomyślał sobie du Hamel, śliczne stworzenie!

Zaczął chodzić teraz lżejszym krokiem, a prze-

chodząc koło drzwi za każdym razem orzucał śpiącą dziewczynę nader życzliwem spojrzeniem.

Raz sądził że się obudzi, pierś jej uniosła się czemś co nie było ani stęknięciem, ani westchnieniem, ani łkaniem, ale jakby wszystkiem tem razem. Na blade policzki wystąpiła czerwona plama, usta lekko się otwarły. Jednak nie przebudziła się, ale czerwona plama pozostała.

Pan du Hamel wszedł na palcach i stanąwszy blizko łóżka, dobył z kieszeni lornetę i zaczął nader bacznie przypatrywać się córce swego przyjaciela; widać rezultat obserwacyi nie musiał go zadowolnić, bo dziwnie jakoś pokręcił głową.

— Czekał jeszcze czas jakiś, aż nareszcie wszedł pan Riberac.

— Sam jesteś, rzekł, gdzież moja córka?

Pan du Hamel poprowadził go ku drzwiom i wskazał na śpiącą.

— Wszak to ona? rzekł.

— Tak, ale co znaczy ta senność?... zapewnia mnie że doskonale sypia w nocy.

— Czy jest delikatnego zdrowia? zapytał z pewnem wahaniem pan du Hamel.

Czoło pana Riberac pokryła chmura smutku.

— Nie wiem, odpowiedział.

— Jakto, nie wiesz?

— Nie, tyle się napatrzyłem na cierpienia i śmierć ukochanych mi osób, tak strasznie cierpiałem nad swoją bezsilnością śledząc postępy nieuleczonych ich chorób, iż przyrzekłem sobie że dla córki mojej zostanę tylko ojcem, i nigdy organizmu jej nie będę badać fatalnym wzrokiem doktora, który odkrywa zaród śmierci tam gdzie wszystko przedstawia pozór życia. Ludwika nigdy się nie skarży, jest wesoła, swobodna, ztąd wnoszę iż musi być zdrowa, a i doktorzy których wzywałem do niej gdy parę razy lekko zasłabła, nigdy nie uważali nic niepokojącego.

Ostatnie słowa pan Riberac wymówił już zupełnie głośno.

— Obudziłeś ją, rzekł pan du Hamel.

— Naumyślnie, ta senność mi się nie podoba.

I podnosząc głos zawołał: Ludwiko! Ludwiko!

Dziewczyna pierwej już podniosła nieco powieki, na głos ojca zupełnie otworzyła oczy, powstała i weszła do pokoju. Zobaczywszy obcą osobę zmieszała się nieco.

— Ludwiko, rzekł pan Riberac, przedstawiam ci najlepszego mego przyjaciela pana du Hamel.

— O którym tyle mi mówiłeś, mój ojcze, odrzekła, podając przyjaznie panu du Hamel swą białą i małą rączkę.

— Mam córkę, o ile mi się zdaje prawie w wieku pani, odrzekł bacznie się w nią wpatrując pan du Hamel i żałowałem zawsze, że przyjaźń jaka łączyła ojców, z winy okoliczności nie mogła przejść do dzieci.

Ludwika zaczęła rok dwudziesty, czy i twoja córka jest w tym wieku, rzekł pan Riberac.

Wyraz zadziwienia przemknął się po twarzy pana du Hamel.

— W takim razie, odrzekł, panna Ludwika jest w wieku mego syna.

Ani pan Riberac ani córka jego nie dostrzegli zadziwienia i pewnego zawahania się doktora zanim odpowiedział, jednak łatwo było odgadnąć tego przyczynę.

Ludwika Riberac nie wydawała się już na lat dwadzieścia; zbyt blada jej cera przypominała barwę więdnącej róży, a szczupłość zdradzała osłabienie. W jej drobnej i delikatnej twarzyczce przebijało się cierpienie; nawet gdy uśmiech igrał na ustach, smutek nie opuszczał twarzy. Mimo to była śliczna i powabna; spojrzenie jej, już to błyszczące już melancholiczne, jaśniało rozumem lub przyciągało niewysłowioną słodyczą. Brakło jej tylko tego kwiatu młodości, który w pewnych epokach życia, najpospolitszym nawet twarzom dodaje świeżości i wdzięku. Zwiędła widocznie przedwcześnie, skutkiem moralnych czy też fizycznych cierpień; albo dusza zbyt boleśnie została dotknięta, albo organizm silnie bardzo był podkopany.

Takie pytanie zadawał sobie pan du Hamel, patrząc na tę śliczną dwudziestoletnią dziewczynę, wydającą się o kilka lat starszą, która od pierwszego wejrzenia żywe w nim wzbudziła współczucie.

— Ludwiko, jest to mój dawny przyjaciel którego nie widziałem od lat trzydziestu, a mimo to nie chce mi darować kilku dni; sprobój czy nie uda ci się przełamać jego uporu.

— Najchętniej. Ileż dni zabawić tu przyrzekłeś pan memu ojcu?

— Dwa dni, panno Ludwiko, w żaden sposób nie mogę zostać dłużej.

— Wierzę temu; ale dwa dni poświęcasz pan dla ojca, a ileż dla mnie?

Obaj przyjaciele uśmiechnęli się.

— No, odpowiadaj! rzekł pan Riberac, ciekawym jak się z tego wywikłasz?

— Przykro mi bardzo iż zmuszony jestem odmówić pani, ale.....

— Ale możesz pan ztąd napisać do pani du Hamel; ja tak mało jestem wymagająca że nie żądam więcej jak także dwóch dni, odrzekła z czarującym uśmiechem. Wszak zgoda, podaj mi pan rękę na dowód że ugoda stanęła.

I wyciągnęła do niego rękę.

— Dobrze więc, ale pozwól mi pani podpisać ją, rzekł pan du Hamel całując podaną sobie rękę, z tą wykwintnością, jaką dziś już tylko u starych ludzi spotkać można.

— Dopiero dwunasta; obiad jadamy o drugiej, czy pozwolisz sobie co podać? rzekł pan Riberac.

— Dziękuję, ale ponieważ jesteś wolny — wszak tak?

— Tak, o ile doktór nim być może; ale zdaje mi się że nie będę potrzebował wychodzić przed obiadem.

— Więc pomówmy z sobą o przeszłości...

— Najchętniej, odrzekł pan Riberac. Ludwiko, czuwaj nad tem, kochane dziecię, aby mi nie przerywano bez koniecznej potrzeby; wiesz co przez to rozumiem.

Ludwika odpowiedziała skinieniem głowy; w tej chwili zaledwie zdołała powstrzymać się od kaszlu.

— Czy masz katar? zapytał niespokojnie pan Riberac. Chodź no tu moje dziecię; czemuś dziś taka blada? Gdzie się podziały twoje świeże rumieńce?

Zapytanie to mocno zakłopotało dziewczynę.

— Głowa mnie trochę bolała i źle zrobiłam że się zdrzemnęłam chwilkę, odpowiedziała. Nie służy mi gdy śpię za długo.

— To nie prawda, pomyślał sobie pan du Hamel, te siniaki pod oczami zdradzają bezsenność.

— Nie skarż się na sen, kochane dziecię, odrzekł poważnie pan Riberac, noce bezsenne bardzo trudne są do przebycia.

Ludwika spuściła oczy, jakby chcąc ukryć ich wyraz przed panem du Hamel.

— Nie chcę preszkadzać panom, rzekła, do widzenia przy obiedzie.

I wyszła z salonu.

— Swobodniejsi będziemy w moim pokoju, rzekł pan Riberac, chodź ze mną przyjacielu.

Otworzył drzwi i weszli do gabinetu w którym stało wielkie starożytne biórko, założone księgami i papierami. Zasiadłszy przy niem w fotelach, zaczęli nawzajem przywodzić sobie wspomnienia przeszłości.

III.

Najpierw rozmawiali o tych czasach kiedy obaj byli studentami medycyny i prawie nie rozłączali się z sobą. Poznali się przypadkiem, a z wzajemnej sympatyi wyrodziła się ścisła przyjaźń, mimo, a może raczej właśnie z powodu wielkiej sprzeczności charakterów.

Pan Riberac był Bretończykiem, miał z natury charakter silny ale zimny. Niestrudzony pracownik, oddał się z zapałem nauce medycyny, której następnie miał zostać jedynym z najznakomitszych przedstawicieli. Wielkie zdolności wyróżniały go z grona współuczni; wszyscy zmuszeni byli uznać jego wyższość.

Pan du Hamel pochodził z Południa; wrodzona mu żywość i wesołość ożywiały nieco posępny humor Bretończyka; lecz mimo tej pozornej lekkości był stały i niezachwiany w przekonaniach. Jemu jednemu wolno było żartować niekiedy z poważnego kolegi, którego zbyt skrajnych pojęć politycznych nie podzielał wcale. Wprawdzie z początku i młody du Hamel należał do zwolenników doktryny saint-simonistowskiej, słuchał jej wykładu i zasad lecz wprędce poznał ich szkodliwość i pierwszy zaczął wyśmiewać owych mniemanych apostołów, podających się za reformatorów chrześcianizmu, oraz niedorzeczne utopie jakie nieszczęściem przewróciły w głowach młodzieży szkolnej, i w następstwie zgubny wpływ wywarły na niejednego z tych młodych ludzi, którym Opatrzność dała wielkie zdolności i środki dozwalając im stać się nader użytecznymi krajowi i współbraciom.

Riberac stał się gorącym zwolennikiem nowych pojęć i jednym z najgorliwszych ich krzewicieli. Rozmiłowany w nauce, oddał się całą duszą doktrynie która oddawała nauce władzę nad światem; pisywał do jej organów i brał poważnie swe apostolskie zadanie.

Wyczerpawszy wspomnienia z życia studenckiego i nagadawszy się do woli o tem, obaj zamilkli.

— Teraz na ciebie kolej, rzekł nareszcie du Hamel, opowiedz mi twoje życie od owej chwili gdyśmy się tak nagle rozłączyli. Jacy z nas byli szaleńcy! Pamiętam doskonale jak okropnie rozgniewałeś się na mnie żem się wyśmiewał z twojej nowej doktryny... Chciałeś aby nauka rządziła światem, bez różnicy płci i stanu; żądałeś równouprawienia kobiet aby mogły być wybierane do sejmów i parlamentów, zostawać adwokatami, doktorami, ministrami, kapłankami i nie wiem już czem jeszcze... To doprowadziło nas do kłótni i nareszcie rozeszliśmy się przyrzekając sobie, że odtąd pozostaniemy zupełnie obcy dla siebie. Obaj byliśmy porywczy i nierozważni.

Pan Riberac westchnął.

— Gdybyśmy wówczas byli rozsądniejsi, mówił dalej pan du Hamel, i nie zrywali tak lekkomyślnie kilkoletniej naszej przyjaźni, nie potrzebowałbym dziś pytać się jak upłynęło twoje życie; bo nawet rozłączeni bylibyśmy porozumiewali się listownie.

— Opowiedz mi twoje radości i szczęścia, rzekł smutnie pan Riberac, potem ja opowiem moje smutki i boleści.

— Dobrze, więc ja zacznę skoro tak chcesz, ale niewiele mam co powiedzieć. Otrzymawszy dyplom doktorski, opuściłem Paryż i powróciłem do Prowancyi. Tam praktyka szła mi dość pomyślnie, ale nie miałem zamiłowania w swoim zawodzie; zanadto był dla mnie utrudzającym. Szczęściem ma-

ka czuwała nade mną; zachęcała do wytrwałości, dodawała odwagi i dzięki jej pozyskałem niejaką sławę i licznych pacientów. Zarzucano mi tylko że byłem nieżonaty. Namówiony do małżeństwa, ośmieliłem się oświadczyć mojej bardzo bogatej kuzynce, którą otaczał rój pretendentów, i zostałem przyjęty. I to szczęście moje zawdzięczałem matce. Kuzynka moja znała ją i kochała; była więc pewna że taka kobieta musiała zbawienny wpływ wywrzeć na wychowanie i charakter syna. Ja pokochałem moją narzeczoną, nie dla tego że była bardzo bogatą, ale że była dobrą, łagodną, prawdziwie pobożną i wysoko ukształconą.

Przez ożenienie zostałem posiadaczem wielkiego majątku, z czego korzystając, prawie zarzuciłem praktykę i więcej czasu poświęciłem nauce.

Byłem bardzo szczęśliwy w pożyciu domowem. Żonę kochałem bardzo, bo coraz więcej ocenić mogłem gruntowne jej przymioty. Rządna, pobożna, łagodna, pobłażliwa, matkę moją prawie równie jak ja kochała. W pięć lat po ślubie, zaczęła podupadać na zdrowiu, zaniepokojony, przez dwie zimy z kolei jeździłem z nią do Nicei. Tam odzyskała siły, a że prześliczna ta miejscowość nadzwyczaj nam się podobała, postanowiliśmy zamieszkać tam przez trzy lata. Jest temu lat dwadzieścia i mieszkamy tam jeszcze i nigdy już nie opuścimy Nicei. Mam dwoje dzieci. Córka moja Marya, ma dziś lat dwadzieścia cztery, syn Gustaw, dwadzieścia. Skończył szkoły bardzo świetnie, obecnie chodzi do uniwersytetu na wydział prawny, i w tym roku ma zdać ostatni egzamin.

Widzisz więc że o całej przeszłości mojej nie wiele można powiedzieć: życie upływa mi cicho i spokojnie; jedynym nader bolesnym dla mnie ciosem, była śmierć ukochanej matki. Zostawię dzieciom majątek zapewniający im zupełną niezależność; leczę tylko przyjaciół i biednych, jestem ciągle zdrów i silny, nie uczułem dotąd ani jednej z tych zazwyczaj nieodstępnych od starości dolegliwości; pożycie moje domowe jest bardzo szczęśliwe, Bóg błogosławi mi widocznie i zdaje mi się że o większem szczęściu na ziemi ani marzyć można.

Pan Riberac słuchał tego opowiadania z głową wspartą na ręku.

— Losy nasze zupełnie do siebie niepodobne, rzekł smutnie, posłuchaj jak ciężką była moja dola. Po twoim odjeździe już całą duszą oddałem się nowej doktrynie, przywdziałem nawet strój przyjęty przez najzapaleńszych jej zwolenników, a że komunistyczne nasze zasady zagrażały społeczeństwu zupełnym przewrotem, rząd wdał się w tę sprawę, sądy zaczęły nas ścigać i musieliśmy się rozproszyć.

Wtedy opuściłem Paryż i udałem się do mego rodzinnego miasta, chcąc tam wyrobić sobie praktykę. Początki zawsze są trudne, a cóż dopiero gdy poznano moje przekonania religijne i polityczne, z któremi się wcale nie taiłem. Wszyscy niemal odsunęli się ode mnie, nie miałem współczucia ani przyjaciół, a jeźli nawet znalazł się ktoś podzielający moje przekonanie, to mniej szczery a przezorniejszy, najstaranniej je ukrywał i więcej jeszcze mnie unikał aby się nie zdradzić z niemi.

Jednak ponieważ byłem dobrym i szczęśliwym, jak mówiono, doktorem, przeto w razie ważnych chorób lub groźnego niebezpieczeństwa, przyzywano *czerwonego doktora*, choć jedni go nie lubili a drudzy się bali.

We dwa lata po mojem osiedleniu się w mieście, poznałem tam i pokochałem pewną młodą panienkę; pozyskałem jej wzajemność, a choć oboje biedni, pobraliśmy się nie troszcząc się o przyszłość. Wówczas to czas jakiś byłem najzupełniej szczęśliwy. Żona moja kochała mnie i była dobra jak anioł, ja też coraz silniej przywiązywałem się do niej. Sam byłem powodem pierwszego zakłócenia mego szczęścia i pierwszego, ale tak głębokiego zmartwienia mej żony, iż do śmierci pozostało jej bolesne po niem wrażenie. Nie chciałem pozwolić na chrzest pierwszego naszego dziecięcia — było to przeciwne mojem zasadom. Nie zapomnę nigdy przerażenia i bolesnego zadziwienia, jakie się wyryło na twarzy młodej matki, gdy starałem się przekonać ją że wszystko to są zupełnie zbyteczne i niepotrzebne formy. Wiedziała że nie jestem bardzo religijnym ale nie przypuszczała że jestem bezwyznaniowym. Straszny to był cios dla kobiety pobożnej; nie umiałem się oprzeć jej łzom i prośbom, córka nasza została ochrzczoną i nadano jej imię Marya.

Odtąd już żona moja nigdy nie odzyskała dawnej wesołości i swobody; widząc że nie może wpłynąć na zmianę moich przekonań, martwiła się i o mnie i o przyszłość dzieci, szczególniej ilekroć czuła się więcej cierpiącą i pomyślała o tem że je osierocić może. Starała się ukrywać przede mną swój smutek i obawy, ale umiałem je odgadnąć.

Wspomniałem ci już że przed ożenieniem żyłem osamotniony, ale wtedy niewiele mnie to obchodziło, po ślubie uczułem to dotkliwiej. Gdy się dowiedziano że nie chciałem ochrzcić dziecka, kobiety, zwykle silniej od mężczyzn przywiązane do religii i jej obrządków, uważały mnie za rodzaj potworu, i nie chcąc mieć żadnych ze mną stosunków, powoli odsunęły się i od mojej żony. Nie ukrywano przed nią powodu, to też choć żadnych nie robiła mi wyrzutów, widziałem jak bolesnie była dotkniętą. Rozgniewany, postanowiłem opuścić prowincyą aby przenieść się tam gdzie nikt nie będzie się mieszał w moje domowe sprawy, i wyjechaliśmy do Paryża. Tam nie łatwo było nieznanemu i bez stosunków wyrobić sobie praktykę; rodzina się powiększała, często brak uczuć się dawał. Spotkałem w Paryżu kilku dawnych moich kolegów, byli to dawni adepci komunistycznej doktryny; żądali abym się przyłączył do ich kółka, zgodziłem się chętnie. W tem nadszedł rok 1848 a z nim i rewolucya.

Nie potrzebuję opisywać ci tej stronicy naszych dziejów; nasze plany najzupełniej się nie powiodły a ja byłem silnie bardzo skompromitowany. Zarówno jak wielu z naszych towarzyszy, zostałem skazany na wygnanie.

Wyjechałem do Anglii z rozpaczą w sercu, gdyż zmuszony byłem zostawić żonę z dziećmi, z powodu iż najstarsza córka moja Marya, zapadła na chorobę piersiową. Zmartwienie i niepokój bardzo szkodliwie oddziałały na moje zdrowie; nie miałem czas jakiś żadnej wiadomości od żony; jeden z towarzyszy wygnania napisał do niej.... Pewnego poranku weszła do mnie niespodziewanie z córkami, trzymając na ręku ostatnie nasze, ledwie kilkomiesięczne dziecię.

— Gdzie Marya? zawołałem strasznem przejęty przeczuciem.

— W niebie odpowiedziała z głośnem łkaniem biedna matka.

Wspomnienie to żywo bardzo wzruszyło pana Riberac: głos jego drżał, zamilkł na chwilę i rękami ścisnął czoło.

— O! nigdy nie zapomnę tych strasznych lat wygnania! rzekł po chwili, bo nigdy nieszczęście cięższem nie przygniotło mnie cierpieniem. Najpierw pożegnał nas syn mój: słabe dziecię nie zdołało przetrwać trudów tak długiej podróży i umarło po kilku tygodniach. Jego to pierwszego ale nie ostatniego, pochowałem na obcej ziemi. Zostało nam jeszcze dwie córki, jedna od drugiej o rok starsza; było to już jedyne nasze szczęście, jedyna pociecha!

Strata syna podkopała bardzo zdrowie mojej żony zachorowała ciężko. Choroba trwała bardzo długo córki doglądały ją jak najtroskliwiej, przywiązanie do matki sił im dodawało. Żona przyszła nareszcie do zdrowia, ale jakby po to tylko aby z kolei dozorować jedną z córek. Zmartwienie i niepokój o życie matki, znużenie i nieprzyjazny klimat odebrały resztę sił dziewczęciu nadzwyczaj delikatnej kompleksyi: walczyłem z chorobą wszelkiemi środkami jakie podaje nauka przeklinając zarazem jej bezsilność—córka moja umarła.

Znowu zamilkł, smutnie głowę zwieszając na piersi.

— Nie mów dziś więcej o tem, zawołał du Hamel, za wiele cię to kosztuje.

— Może drugi raz nie zdobyłbym się już na tyle odwagi: rana otwarta, niech krew odpłynie.

Nowy ten cios resztę sił i odwagi odebrał mojej żonie; dnie i noce spędzała we łzach. Tęskniła do ojczyzny, gdzie snem wiecznym spoczywała najstarsza nasza córka; często przesiadywała na mogile młodszych dzieci, życie jej stało się jednem długiem pasmem żalu i boleści. Dla tak pobożnej kobiety, jedyną ulgą mogła być pociecha religijna, ale w małem mieście protestanckiem, nie było kapłana katolickiego. Tak przez lat kilka znosiła z rezygnacyą ciężką swoją dolę, całkiem zajęta religijnem wychowaniem córki, czemu przeszkadzać nie miałem siły. Miałem nadzieję że powrócę z żoną do Francyi, gdyż czas wygnania mego kończył się właśnie, lecz nagle stan jej zdrowia nadzwyczaj się pogorszył i właśnie w dniu w którym granice rodzinnej ziemi stawały dla mnie otworem, niepocieszona matka połączyła się z dziećmi. Zostałem sam jeden na świecie z jedyną już moją córką Ludwiką, którą poznałeś przed chwilą, i w niej ześrodkowały się wszystkie moje uczucia i nadzieje.

Przyznaj jak ciężką była moja dola i jak straszne przeszedłem próby; ileż to razy zapytuje siebie: czemu fatalność ściga mnie tak nieubłaganie?

— Fatalność! I czemuż nie pomyślisz raczej że Bóg tak ciężko cię doświadcza aby dać ci uczuć swą prawicę? Czemu wyrzekasz się jedynej pociechy, jedynej dźwigni jaką w nieszczęściu stać się może modlitwa i wiara?...

— Należę do tych ludzi co w dobrej czy złej doli pozostają wierni swojem przekonaniom, odrzekł nieugięty starzec.

— Możesz być aby człowiek prawy i uczciwy podobnemi rządził się zasadami? pomyślał pan du Hamel.

W tem drzwi gabinetu otworzyły się i Ludwika ukazując się na progu poprosiła ich do stołu.

(d. c. n.)

Ze świata naukowego.

Gazy w stanie stałym.—Doświadczenia pp. Cailletet i Pictet. — Nowe drzewo.

W dziedzinie chemii niezmiernie ważne doświadczenia przez P. Cailletet w Paryżu czynione pod koniec Grudnia z. r. i jednocześnie w Genewie przez p. Raula Pictet, wykazały możność doprowadzenia do stanu stałego gazów wszystkich.

Wiadomo iż wszelkie bez wyjątku ciała znajdujące się w naturze, pod trzema tylko postaciami czyli stanami się przedstawiają: *stałym, płynnym i lotnym.* Przyczyną ich jest mniejsza lub większa ilość ciepła. Najwyraźniejszy, najpowszedniejszy przykład tego przedstawia nam woda, która przy podniesieniu temperatury ze stanu płynnego przechodzi w lotny, zamieniając się w parę, a przybiera stan stały

w lód się zamieniając, przy obniżeniu temperatury niżej zera. Metale w wysokiej temperaturze topnieją i w płynny stan przechodzą. Prawo to w teoryi uważanem było za ogólne dla ciał wszystkich, ale doświadczenia pokazywały iż niektóre gazy nie dają się doprowadzić do zmiany swej postaci. Takiemi były tlen, azot i wodor.

Obecne doświadczenia pp. Cailletet i Pictet, o których znany chemik Dumas zdawał sprawę na posiedzeniu Akademii Nauk w Paryżu, i co do tych ciał usunęły wszelkie wątpliwości. Pierwszy na publicznem posiedzeniu w obec licznego zgromadzenia uczonych okazał, iż poddawszy tlen ogromnemu ciśnieniu 270 atmosfer i obniżając jego temperaturę do 29°, ten gaz niewidzialny, po odemknieniu naczynia wychodzi z niego pod postacią chmury białawej albo mgły, a więc w stanie już płynnym, skroplonym. Doświadczenia jednak w Genewie przez p. Raula Pictet prowadzone, bardziej stanowcze i wyraźne dały rezultaty. Nietylko otrzymał on tlen pod postacią płynu, ale co najciekawsze, nawet *kawałki wodoru.*

Aparat i sposób postępowania przez p. Pictet użyty jest następny: wielka retorta z żelaza kutego w kształcie bomby o ścianach bardzo mocnych i grubych ażeby mogły wytrzymać niezmierne ciśnienie, połączona jest długą także rurką z podobnym rezerwoarem w termometr i manometr opatrzonym. Rurka mieści się w drugiej znacznie obszerniejszej, zawierającej kwas węglany przez ciśnienie do stanu płynnego doprowadzony i wtedy mający już temperaturę 70 stopni niżej zera. W około tej rury z kwasem węglanym obiega nieustannie prąd kwasu siarkowego, którego ciągłe krążenie utrzymują cztery pompy przez machinę parową poruszane. Przez to kwas węglany bardziej jeszcze się oziębia. W retorcie znajduje się chlorek potasu z którego przez ogrzewanie wydobywa się tlen z wielką energią, nagromadza się i sam się ściska w rezerwoarze aż do 320 atmosfer, co manometr wskazuje. Przechodząc przez długą rurkę mocno oziębioną, sam się ochładza i chłód ten, sposobem wyżej wzmiankowanym, dochodzi do 140° termometru stustopniowego. Wtedy za odemknięciem krana w rezerwoarze okazuje się najprzód obłok białawy, a później z siłą wytryskuje struga płynu, który niczem innem nie jest tylko tlenem do stanu płynnego doprowadzonym, gdyż nic innego w zbiorniku nie było; zresztą łatwe doświadczenia z tlenem przekonywają o tem, jak naprzykład podnoszenie gorzenia ciał zaledwo tlejących, struga tego płynu puszczona na węgle w których jeszcze jest iskierka ognia, wnet je rozpłomienia.

W ten sposób postępując z wodorem, przy tem-że oziębieniu, ale podnosząc ciśnienie do niezmiernej potęgi 650 atmosfer, p. Pictet nietylko iż otrzymał go w stanie płynnym, ale nawet stałym, pod postacią drobnych kawałków niby ziarn szrótu, które przez kilka minut w chłodzie można było przechować. Po odemknięciu krana zbiornika, puścił się płynny wodór strugą stalowo-błękitnego koloru, a następnie sypać się począł jakby drobny grad złożony z wodoru zupełnie już stałego.

Te doświadczenia które mogą ważny przewrot w nauce chemii uczynić, przychodząc w pomoc nie którym teoryom za zbyt śmiałe dotąd uważanym, wielkie także mają znaczenie w tym względzie, iż przekonywają ostatecznie o prawach natury, niezmiennych i jednych dla ciał wszystkich, żadnego nie dopuszczając wyjątku. Sądzić przytem należy iż te ważne i ciekawe doświadczenia inne jeszcze okażą rezultaty, może największej doniosłości.

W mało jeszcze, a miejscami nieznanych nawet okolicach środkowej Ameryki, odkrywają nieraz prawdziwe niespodzianki dla badaczów natury; do takich należy przez żadnego z nich nie opisane ani wspomniane, drzewo arcyciekawe znajdujące się w lasach otaczających miasto Mayobamba w oddalonej części Peru położone. Konsul Stanów Zjednoczonych Kolumbii, podaje o niem następną wiadomość do rządu swego, wraz z projektem zużytkowania tego odkrycia. Drzewo to przez krajowców zwane *Tamai-caspi*, co znaczy *Drzewo deszczowe*, szczególną własnością jest obdarzone. Średniej wysokości, nie sięga bowiem wyżej nad stóp sześćdziesiąt przy pełnym swym wzroście miewa około 3½ stóp średnicy. Z dziwną energią przyciąga ono i zbiera wilgoć powietrza i to najbardziej w czasach największej posuchy, kiedy się zdaje iż w powietrzu żadnej wilgoci nie ma. Drzewo to ciągle jest jakby po silnym deszczu, woda sączy się po pniu jego i gałęziach, a z liści deszcz nieustannie kapie, tak że w około tych drzew ziemia jest zawsze zanadto wilgotną; nawet w moczar przechodzi. To przytem niezmiernie jest dziwnem, iż ta własność spotęgowuje się podczas lata i w miarę wzrastającej posuchy. Wzmiankowany konsul radzi iżby rozmnożyć te drzewa, sadząc je w miejscach suchych, piaskowych i jałowych, które pod wpływem wilgoci przez nie przyciąganej, w urodzajne zamienić się dadzą. Mają się w Ameryce zająć doświadczeniami w tym względzie; gdyby się one powiodły, byłyby prawdziwem dobrodziejstwem dla suchych, piaszczystych, nieurodzajnych obszarów, które tak znaczne jeszcze zajmują przestrzenie w wielu miejscowościach kuli ziemskiej.

H. K.

Przegląd literacki.

Jan Śniadecki, jego stanowisko w dziejach oświaty i filozofii w Polsce przez D-ra M. Straszewskiego. Kraków 1875.

(Dokończenie).

Wszystkie te zasady wyznają i spółczesny materyalizm i pozytywizm. Czy Jan Śniadecki podzielał te przekonania? Prawdą jest, że nieraz w swych pismach podnosi wartość *doświadczeń*, ale jak pojmował te doświadczenia? Oto główną rolę w doświadczeniach przypisywał zawsze *rozumowi;* niedobrze rozważone doświadczenia (są to własne słowa Śniadeckiego) nazywa *szaleństwem fizycznem*; twierdzi wyraźnie (czego sensualizm nie uznaje), że *człowiek jest obdarzony władzą myślenia i rozumowania*, a w innem miejscu powiada że *droga samej indukcyi i analogii* (wyprowadzanie praw z doświadczeń i ogólnych wniosków z większej lub mniejszej ilości wypadków pojedynczych, jedyna metoda sensualistów i pozytywistów) *musi nas zawsze w rozumowaniu obłąkać.* Mówi także Śniadecki, że do uznania rozmaitości przedmiotów zewnętrznych dochodzimy wskutek naszej rozmaitości wewnętrznej, duchowej, co znaczy że świat zewnętrzny jest niejako odbiciem naszego ducha, pogląd to zbliżony do krańcowego nawet idealizmu, w żadnym już zaś razie nie sensualistyczny i niepozytywny. W licznych przemówieniach do młodzieży i rozprawach, Śniadecki nawołuje i zachęca do poszanowania tradycyi, przeszłości i do niezaniedbywania religii i strony uczuciowej. I sam w życiu codziennem zawsze był religijnym i w pismach filozoficznych wyraźnie powiada, że w naukach widzimy tylko skutki i fenomena, a koniecznem uzupełnieniem nauki musi być religia. W mowie o instytucyi religijnej na str. 123. mówi Śniadecki: nauka ateistów nic nie tłomaczy, a wszystko podkopuje; tak fundament moralności jak i porządek towarzyski z nią upada i ginie cała zacność i dostojność człowieka. To też zjawia się ona tylko w chwilach społecznego i narodowego upadku, a prowadzi całą społeczność do skonu. Jest to duma występnego myślenia, które przywłaszczyło sobie tylko świetne imię filozofii. Prawdziwa filozofia przekonywa nas, że bez religii nie masz w ludziach siły dla zabezpieczenia towarzyskiego porządku. Materyaliści i pozytywiści, z zasady przeciwnicy religii i w Boga nie wierzący, nie przemawiają w podobny sposób o religii. W innem miejscu Śniadecki wypowiada mądre słowa, i dziś jeszcze pouczające dla tych, którzy z upodobaniem używają jako argumentów przeciwko religii faktów historycznych, stwierdzających nadużycia i krwawe zbrodnie w imię religii popełniane: prawda, mówi Śniadecki, mamy w historyi nadużycia, które się działy pod płaszczykiem i pokrywką religii, ale ich istotną przyczyną była przewrotność ludzka, ale nie religia. Żaden fanatyzm pobożności nie wyzionął razem tyle klęsk i nieszczęść ile fanatyzm niedowiarstwa.

Zdaje się że powyższe wyjątki wystarczają do wyznania, że Jan Śniadecki był wprost przeciwnym wszystkim streszczonym powyżej krańcowym poglądom sensualizmu czyli materyalizmu. Pozostają jednak jeszcze dwa punkta, których czepiają się uporczywie pozytywiści, pragnący gwałtem kanonizować Jana Śniadeckiego na swego patrona, a mianowicie: walka tego uczonego z romantycznym kierunkiem poezyi i jego polemika przeciwko filozoficznej nauce spółczesnego myśliciela Kanta. Wypada więc i nam powiedzieć za panem Ś. kilka słów o obydwóch tych punktach.

Prawdę mówiąc, już to zrozumieć niełatwo, jakiej poezyi chcą, materyalni pozytywiści i jaki jej kierunek pochwalają. Wykazała to ostatniemi czasy elukubracya pana F. K. w Ateneum, o której na swojem miejscu była już mowa w szpaltach niniejszego pisma. Trudno uwierzyć naprawdę, ażeby ich nęcił klasycyzm grecko-rzymski albo blady pseudo-klasycyzm Boileau i Osińskiego: do *martwych*, a więc mało produkcyjnych języków i martwych prawideł nie wiem, zkądby pozytywiści mogli raptem powziąść tyle nabożeństwa. Zresztą wszelka poezya, wszelkie natchnienie jest czczem złudzeniem, podług pozytywizmu, uznającego jedyną miarę wszech rzeczy w łokciu, funcie, mikroskopie i retorcie. Zdaje się że, w duchu pozytywizmu, najlogiczniej poczyna sobie pewny niedouczony pisarz i filozof, który pragnie aby poezya pozytywna opiewała kupy nawozu, kominy machin lub oszczędność i przemysł Chińczyków w zużytkowaniu najpotrzebniejszych rzeczy. Bądź co bądź, pozytywiści, jak tego dowiódł i pan F. K., chętnie i zawzięcie uderzają na romantyczny kierunek poezyi, pomiatając najwznioślejszemi klejnotami poezyi narodowej i największemi geniuszami, któremi szczycą się nasze dzieje, wrzekomo z pobudek obywatelskich, zwalając na niewinną córę niebios najcięższe winy, w rzeczywistości zaś dla tego ażeby poniżyć wszystkich i wszystko, co tylko nie wyszło z pozytywnej szkoły — choćby przed jej narodzeniem, bo prawa przez pozytywistów dyktowane i wstecz także działają — a także z obowiązku sponiewierania i oplwania wszystkiego, co płynie z najwznioślejszych lecz obcych pozytywizmowi źródeł, co było chlubą wieków i pokoleń. Prawe uczucia, religijność i duch obywatelski zawsze są solą w oku pozytywizmowi: ten ostatni głównie dla tego, że opiera się na tradycyi i przeszłości, którą pozytywiści okrywają lekceważeniem i wzgardą, aby nie przeszkadzała im stworzyć nowej ery — darwinicznej walki o byt. Przy takiem usposobieniu pozytywistów dla poezyi

romantycznej, nie ma nic dziwnego że posłyszawszy iż Śniadecki występował przeciwko romantyzmowi podnieśli okrzyk tryumfu i nawet uznali wielkiego uczonego za swojego. Ażeby zrozumieć, jak się istotnie rzecz miała, dość przeczytać zajmujący ustęp z dzieła p. Straszewskiego, tej kwestyi poświęcony. Autor nasz wykazuje przekonywająco że sam Śniadecki wiele przyłożył się do wywołania kierunku romantycznego, a mianowicie rozwijając i krzewiąc zasady komisyi Edukacyjnej, zaszczepiając zamiłowanie przeszłości i tradycyi, wymagając niezaniedbywania religii i strony uczuciowej. Opozycyą zaś Śniadeckiego przeciwko bujnemu i dość zrazu gwałtownemu i burzliwemu rozwojowi romantyzmu, tłomaczy się właściwościami umysłu tego męża i pochodziła nie z żadnej zawziętości z przeciwieństwa zasad wynikającej, lecz raczej z praktycznych i przytem najszlachetniejszych pobudek. A mianowicie z natury swego umysłu trzeźwego i we wszystkiem wymagającego jasności, Śniadecki przeciwny był wszelkim szamotaniom się, wszelkim dążnościom rewolucyjnym w jakiejbądź sferze, wszelkim nieokreślonym i tęsknym pragnieniom. Wymagał on zawsze i we wszystkiem pracy wytrwałej organicznej i prawidłowej, z jasno określonym pożytecznym dla kraju i społeczeństwa celem. Trudno zaś zaprzeczyć, że w samych początkach romantyzm wydawał się jakąś zupełną burzącą dawne pojęcia rewolucyą, bez jasno określonego celu. Śniadecki zatem zachowywał się więcej podejrzliwie niż nieprzyjaznie względem tego kierunku, gdyż będąc świadkiem początków romantyzmu, nie ocenił należycie znaczenia tego przewrotu i nie mógł przewidzieć dalszego jego rozkwitu. Już przy końcu życia, jak wiadomo, Śniadecki znacznie złagodził swoje uprzedzenia pod tym względem i nawet z uznaniem wyrażał się o poezyi Mickiewicza. Oprócz tego, Śniadecki wykarmił swój umysł na wzorach starożytnych i francuzkich, tak że burzący klasyczne bożyszcza romantyzm zadrasnął także jego sympatye osobiste, od których wpływu nie są zupełnie wolni nawet najwięksi ludzie. Nakoniec jako matematyk, Śniadecki mniemał że i w estetyce i w poezyi panuje także postęp, jak w matematyce, który zależy na dalszym rozwoju i doskonaleniu raz już kiedyś zdobytych prawd, bez burzenia i obalania. „Ponieważ Horacy — są własne jego słowa — ustalił już pewne zasady sztuki i piękna, można je więc, jako prawdziwe doskonalić ale niewolno całkowicie burzyć i fałszować.“ Tak więc słynna owa nienawiść Śniadeckiego do romantyzmu sprowadza się do pewnego jego strony niezrozumienia kierunku i do uprzedzenia, wypływającego już to z osobistych sympatyi, już to z jak najszlachetniejszych pobudek.

Niewiększą w gruncie rzeczy doniosłość, ma i drugi punkt — walka Śniadeckiego z filozofią Kanta. Na zasadzie tej walki wniesiono że Śniadecki był wrogiem wszelkiej filozofii, wszelkich mrzonek, podobnie jak pewien młodzieńczy filozof naszego czasu, który bez znajomości historyi filozofii, jednym pociągiem pióra uznał za półgłówków wszystkich największych myślicieli, począwszy od Talesa do Comta wyłącznie. Tymczasem Śniadecki sam był filozofem i napisał „Filozofią umysłu ludzkiego,“ bynajmniej nie materyalistyczną, ale opartą na powyżej wzmiankowanych filozoficznych zasadach. Co się zaś tyczy jego polemiki z Kantem, nie możemy tu wchodzić w abstrakcyjne jej szczegóły: dość będzie tylko powiedzieć, że wiele poglądów Śniadeckiego jest wspólnych z filozofią Kanta, a główną przyczyną niechęci naszego myśliciela było uprzedzenie względem filozofii niemieckiej, którą w ogólności uważał za mglistą i bałamutną, szkodliwie na umysły młodzieży wpływającą. Nadto, niezupełnie słusznie Śniadecki widział w nauce Kanta teoryą podobną do innych spekulacyjnych nauk a *priori*, to jest z pominięciem doświadczeń na samem tylko rozumowaniu opartą; różnił się także od Kanta w kilku podrzędnych kwestyach, a zresztą trudno zaprzeczyć że bystro i trafnie wykrył niektóre słabe strony tej doktryny. Tak więc i opozycya Śniadeckiego przeciwko Kantowi nie ma takiego znaczenia, jakie jej przypisywano i wypływała przeważnie z tych samych pobudek, co i jego nieprzyjaźń przeciwko romantyzmowi.

Na tem kończymy nasze krótkie sprawozdanie o dziele pana Ś. Mnóstwo w niem ważnych i ciekawych wiadomości, których tu nawet dotknąć nie mogliśmy. Umieszczone w dodatku listy treści naukowej z poglądami Śniadeckiego mające związek zawierają także wiele zajmujących szczegółów o ruchu wydawniczym owego czasu, o troskliwości Śniadeckiego o język i oświatę i t. d. Ostatecznie polecamy wszystkim to dzieło, które wznowiło pamięć Śniadeckiego i przedstawiło nam go w świetle prawdziwem, wolnym od potwarczych roszczeń pozytywistów.

W.

OBRAZY
na Wystawie Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych
W WARSZAWIE.

Krzyżacy p. Gersona, obraz wielkich rozmiarów, przedstawia scenę grabieży i morderstwa zakonu rycerskiego, na Litwie, kędy wśród dymiących się zdala zgliszczy, chciwy komtur oblicza zdobycze, a drugi stopą w żelazo okutą stanął na piersi zabitego Litwina, i zuchwałem ramieniem spłakaną i broniącą się rozpaczliwie niewiastę porywa, wytrąciwszy jej z rąk maleńką dziecinę. Mimo dramatyczności przedmiotu, zdaje nam się, że zamało tu akcyi, i postacie grzeszą cokolwiek sztywnością. Niewątpliwe jednak zalety przeważają owe usterki, które wytykamy tem śmielej ile więcej wymagać możemy po takim artyście, jakim jest pan Gerson, twórca Kopernika, i wielu innych poważnych prac w dziedzinie historycznego malarstwa.

Maryna Mniszchówna pana Wyczołkowskiego, przykuwa do siebie uwagę widza wyborną charakterystyką i pięknością twarzy. Uciekająca przed wrogami, z dzieckiem na ręku, kryjąca się w zaroślach, znużoną, ale mściwą dłonią dzierży osta tnią broń, łuk, który naciąga strzałą, bo słyszy już okrzyki, postrzega między zaroślami że jest ściganą. Za chwilę może już ją wyśledzą, wytropią, śmierć nieuchronna, ale na tem dumnem obliczu nie znać lęku niewieściego. W oczach skupiło się całe życie i wyraz, cała duma, charakter nieugięty, monarszy. Podkrążone, przepalone zmęczeniem i rozpaczą, nie zażcawią się one nigdy, przywykły pogardliwie mierzyć tłumy hołdowników, i w obec zguby nawet patrzą hardo. Te same oczy błyszczą u jej syna, podobnego do niej, choć znaczna w rysach krew samozwańca. Obie głowy Maryny i dziecka są przepyszne, i na długo pozostawiają wrażenie, a młodemu artyście przynoszą prawdziwą chwałę i wróżbę znakomitej przyszłości.

W jesieni p. Witkowskiego. Krajobraz smętny, drzewa ogołocone z liści, stado ptaków odlatuje, dworek biały samotnie stoi, a na ścieżynę, suchym zasłaną liściem, ku drodze pustej wyszła jakaś niewieścia postać w czarnej sukience i tęsknie pogląda, może oczekując czegoś, co po tej drodze kiedyś powędrowało z jesiennym liściem, i nie wróci, choć stada ptaków przyleca, choć drzewa zieloność odzyszczą?... Obrazek to wdzięczny i udatny.

Pan Maszyński Julian obdarzył nas trzema pracami, z których jedna:

Szlachcic na rekolekcyach znoszący biczowanie ze skruchą, odznacza się pełną prawdy i życia harmonią. Klęczy on na dywanie, przed obrazem świętym, i bije się w piersi, powtarzając psalmy pokutne, podczas gdy braciszek z konwentu siecze dyscypliną obnażone plecy. Twarz starego polonusa doskonale wyraża swą serdeczną skruchę i wiarę w imię której odbywa tego rodzaju praktyki religijne.

Żacy Krakowscy druga praca p. M. śpiewający kolendę w kuchni zamożnego mieszczańskiego domu, mimo wielkiego realizmu, którym artysta odznaczać swe dzieła pragnie, nie czynią przecie dobrego wrażenia. Twarze jednostajne, bezmyślne, brzydkie: obdarzająca ich gosposia, ubrana zanadto w Kaukazkim raczej niż Krakowskim guście, postawa zaś żaczków nadto drewniana.

Chór wiejski stanowczo nas zadziwia doborem typów i monotonii oblicz, których oryginały powinny być co najmniej niewdzięczne artyście za ich odtworzenie. Obrazek mógłby być nawet powabny: młody chłopaczek gra na organach, dwie jego siostrzyczki, pewnie panienki ze dworu, towarzyszą mu śpiewem, stary dziad kościelny *kalikuje*. Czemuż jednak wszyscy tu posiadają tak przedłużone fizyognomie, a tak sztywne i nawet nieestetyczne postawy? Razi to tem bardziej; że pan Maszyński przyzwyczaił nas do wręcz tym zarzutom przeciwnych przymiotów swego pędzla.

Odpowiedzi od Redakcyi.

Pani Rozalii S. Dla wszystkich prenumeratorów pisma naszego, załatwiamy chętnie wszystko o co jesteśmy proszeni. O atlasie też donieśliśmy natychmiast, ale dotąd żadnej nie otrzymaliśmy odpowiedzi. Atlas jaki sumiennie można polecić kosztuje rs. 3 kop. 50, tańsze dość są niedokładne. Jeskego część 4 kosztuje rs. 7, Stylistyka kop. 50.

Pani T. S. w Murowie. Obie książki wysłane zostały. Brak jeszcze rubla do półrocznej prenumeraty, gdyż Tygodnik nasz kosztuje kwartalnie rs. 2 kop. 50.

Pannom Ludwice i Józefie B. w Dwety. Numer zagubiony Przyjaciela powtórnie wysłano. Rubli dwa oddano biednej pani Machnickiej.

Panu Janowi J. Wierszyk p. t. Żal po najdroższej, ma pewne zalety i widać że z serca został wysnuty, ale brak mu zachowania niezbędnych warunków formy.

Przyjaciela Dzieci Nr. 6 wyszedł z druku i zawiera:

Klemens Janicki. — Mikroskop (wiersz). — Widok Belgradu (z drzeworytem). — Olbrzymia lipa w Przegini (z drzeworytem). — Walki Jana Sobieskiego. w Dodatku: Dwie Siostry.

Prenumerata wynosi kwartalnie:

w Warszawie kop. 75 — z przesyłką pocztową rs. 1.

Adres: Do **J. K. Gregorowicza.** *Ulica Elektoralna Nr. 779 (nowy 41).*

Do dzisiejszego N-ru Tygodnika Mód dołącza się dodatek z drzeworytami i arkusz z krojami.

ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ. Варшава, 26 Января (7 Февраля) 1878 г. Redaktor J. K. Gregorowicz. Wydawca E. Skiwski. Druk E. Skiwskiego, Elektoralna N. 758 (28).

Dodatek.

Opis do N. 6.



N. 2. Sukienka princesse bez zaszewek dla panienki lat 12—14. Patrz ryc. 3. Krój na arkuszu N. III, Fig. 9—14-a.

N. 1. Opis przy ryc. 23 w N-rze 5.

N. 2—3. Sukienka princesse bez zaszewek, dla panienki lat 12—14. Krój na arkuszu N. III, Fig. 9—14.

Części formy Fig. 9—11 nie są podane całkowicie i trzeba je uzupełnić podług miar podanych na zmniejszonym formacie; na Fig. 9 odznaczona jest forma połowy przodów zachodzącej na wierzch i połowy węższej idącej pod spód przy skośnem zapięciu, tudzież linią przerywaną wskazany jest środek przodu zapinanego prosto. Pod stanik daje się podszewkę z szyrtyngu a pod suknię z muślinu; model który opisujemy był z granatowego wełnianego materyału. Plisowanie u dołu jest 18 cent. szerokie i dane na około sukni, pliski zaś zachodzące na siebie, ułożone na muślinie, 10 cent. szerokie idą tylko z przodu i z boków; 5 cent. szeroka falbanka i kokardy z repsowej wstążki 6 cent. szerokiej zdobią wykrój szyi i plecy sukienki u dołu. Guziczki okrągłe metalowe.

N. 4—5. Chusteczka batystowa z irlandzką koronką.

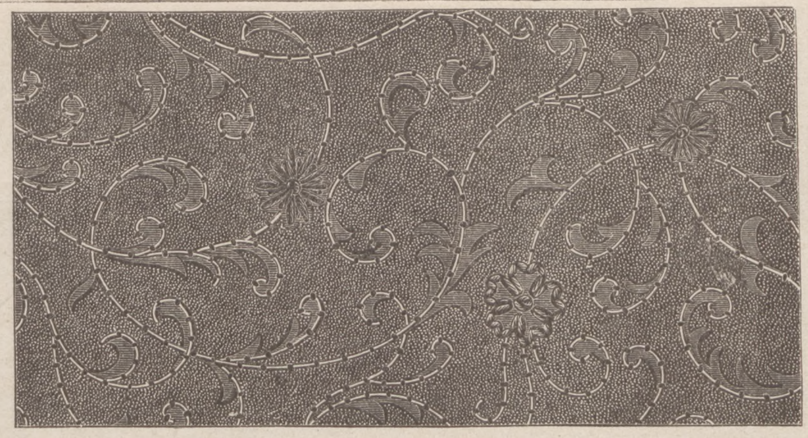
Rycina 4 przedstawia w naturalnej wielkości narożnik szlaku z koronki irlandzkiej, składającej się z dwunastu gwiazd; każdy ząbek gwiazdki zapełniony jest inną kratką koronkową; tło międzу gwiazdami zasnute odzierganemi nitkami, całość podana na ryc. 5.



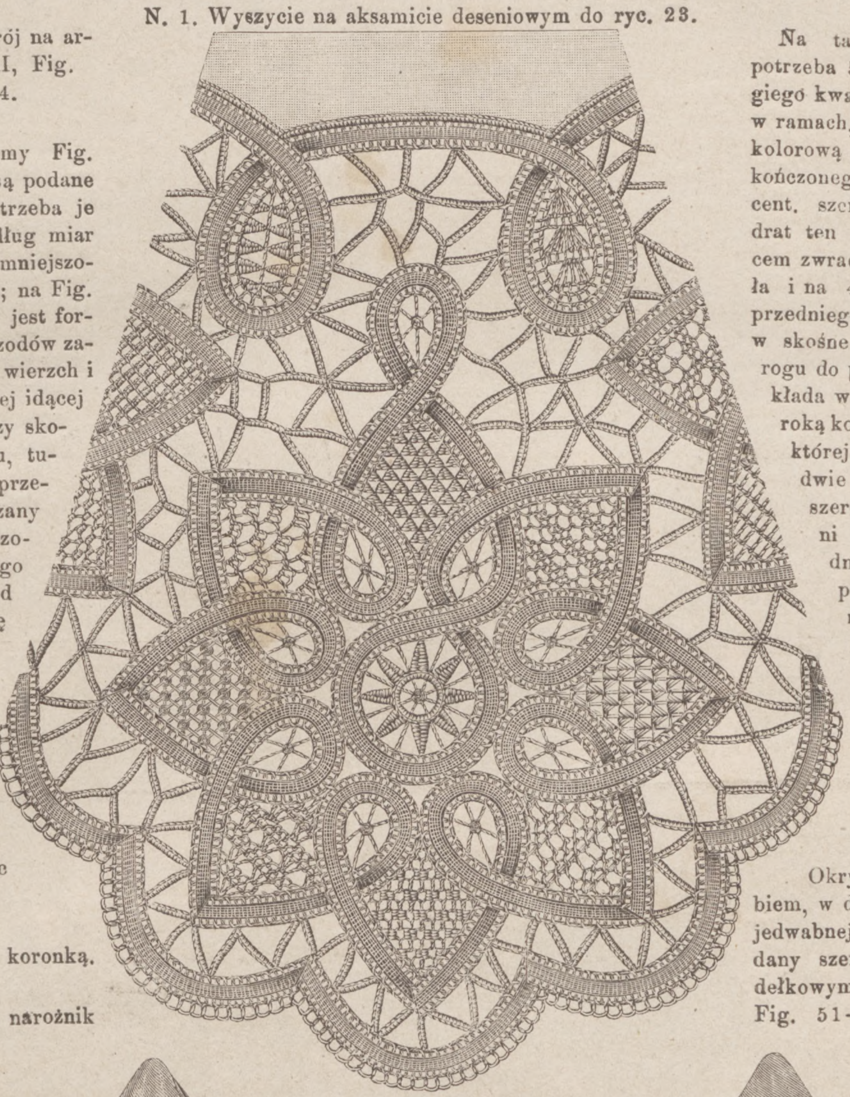
N. 9. Kapturek, robota w ramach.

N. 6—8. Chusteczka batystowa z szerokim obrębem, bafcikiem i kratką ażurową.

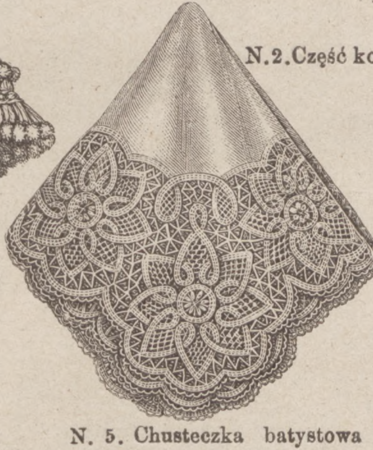
Gładki obrąbek utrzymuje się ciągle przy chusteczkach do skromniejszego ubrania; strojne, eleganckie chusteczki zakończać musi piękny haft lub koronka. Na wzorze dzisiejszym widzimy nad obrębem 4 cent. szerokim szlaczek wyszyty podług ryc. 8, otoczony dwoma paskami kratki ażurowej, wiązanej jak na ryc. 7. Monogram haftowany atłaskiem.



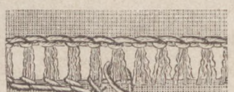
N. 1. Wyszycie na aksamicie deseniowym do ryc. 23.



N. 2. Część koronki irlandzkiej do chusteczki ryc. 5.



N. 5. Chusteczka batystowa z koronką. Patrz ryc. 4.



N. 7. Kratka ażurowa do ryc. 6.



N. 8. Szlaczek haftowany do chusteczki ryc. 6.



N. 6. Chusteczka batystowa z obrębem i szlakiem. Patrz ryc. 7—8.





N. 11—12. Bluza męzka. Krój na arkuszu N. IV, Fig. 15—19-a.

N. 9. Kapturek, robota w ramach.

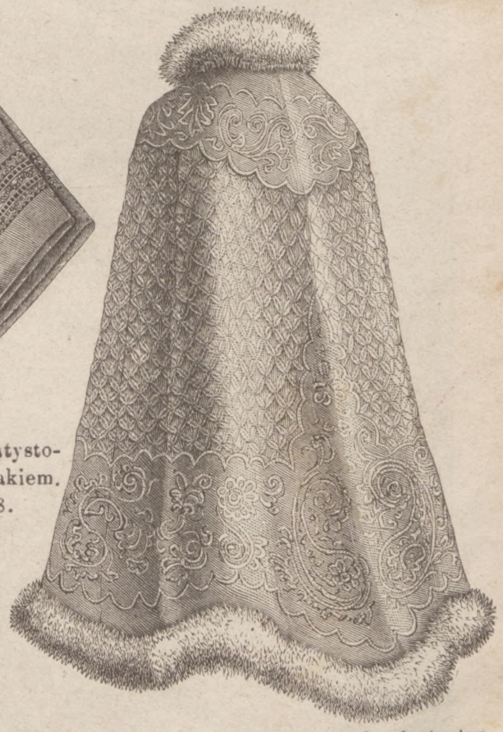
Na taki kapturek potrzeba 52 cent. długiego kwadratu robotą w ramach, podszytego kolorową materyą i zakończonego frendzlą 12 cent. szeroką. Kwadrat ten jednym końcem zwraca się do czoła i na 45 cent. od przedniego rogu (licząc w skośne od jednego rogu do prugiego) zakłada w 4 cent. szeroką kontrafałdę, po której bokach dane dwie fałdy 2 cent. szerokie. Od skroni brzegi przednie wzdłuż kapturka odwinięte są na wierzch a do twarzy dane podszycie z puszku łabędziego. Kolorowa wstążka 6cent. szeroka zdobi zwierzchu kapturek i także kokarda zapina go pod brodą.



N. 3. Sukienka princesse bez zaszewek dla panienki lat 12—14 Patrz ryc. 2.

N. 10. Okrycie balowe, do teatru lub na koncert. Patrz ryc. 31 w N. 5.—Krój i deseń na arkuszu N. XI, Fig. 51—53.

Okrycie z białego kaszmiru pikowane białym jedwabiem, w deseń wskazany na ryc. 31 w N-rze 5, na białej jedwabnej podszewce lekko watowanej ma na około dany szeroki szlak z materyi jedwabnej wyszyty szydełkowym ściegiem w tamborku. Formę załączoną na Fig. 51—52 dopełnić trzeba podług miar załączonych na zmniejszonym formacie. Brzegi okrycia oszyte puszkiem łabędzim.



N. 10. Okrycie do wejścia na bal, do teatru i t. p. Patrz ryc. 31 w N-rze 5. Krój i deseń na arkuszu N. XI, Fig. 51—53.

N. 11—12. Bluza męzka. Krój na arkuszu N. IV, Fig. 15—19-a.

Krój bluzy załączony na Fig. 15—19 jest bardzo łatwy do dopasowania i nie wymaga szczegółowego opisu; w Austryi bluza taka cieszy się wielkiem powodzeniem, noszą ją zarówno



N. 13–22. Ub nia balowe i strojne wizytowe.

N. 13. Suknia princesse z wyciętym stanikiem ozdobiona haftem.

N. 14. Suknia princesse z aksamitu i materyi.

N. 15. Suknia princesse zachodząca pod szyję zdobna koronką.

N. 16. Suknia balowa ze stanikiem z baskiną. Patrz ryc. 19.

N. 18. Ubranie strojne dla starszej osoby.

N. 17. Zarzutka koronkowa.

N. 19. Suknia owa ze stanikiem z bas ą. Patrz ryc.

N. 20. Szalik gazowy jako sortie de bal.

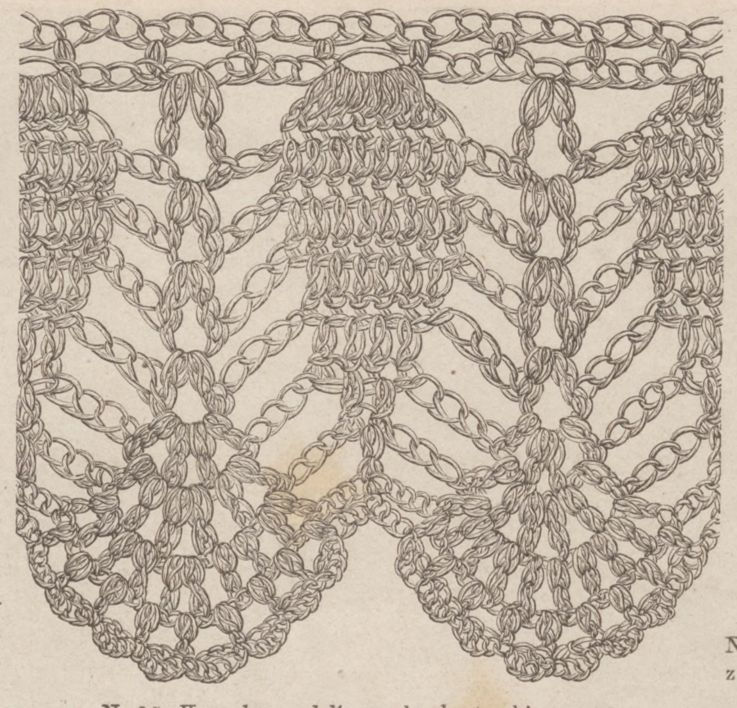
N. 21. Suknia princesse zapinana z tyłu. Okrycie do wejścia na bal patrz ryc. 10.

N. 22. Suknia princesse z materyi faille gładkiej i w pasy. Dolman. Wskazanie kroju sukni na arkuszu N. VI, Fig. 26.

starsi panowie jak i młodsi chłopcy, z cięższych lub lżejszych materyałów. Przody zapinają się niewidocznie na guziki i listewkę podszytą od spodu; plecy przymarszczone na listewkę podszytą z perkalu. Przecięcia na kieszenie przykrywają patki (Fig. 18—19) ostębnowane z brzegów; kołnierz wykładany jest z podwójnego materyału na sztywnej podszewce.



N. 23. Kołnierzyk wykładany ze szmizetką, do sukni wyciętej kwadratowo. Krój na arkuszu N. XII, Fig. 54—56.



N. 25. Koronka szydełkowa do chusteczki ryc. 25.



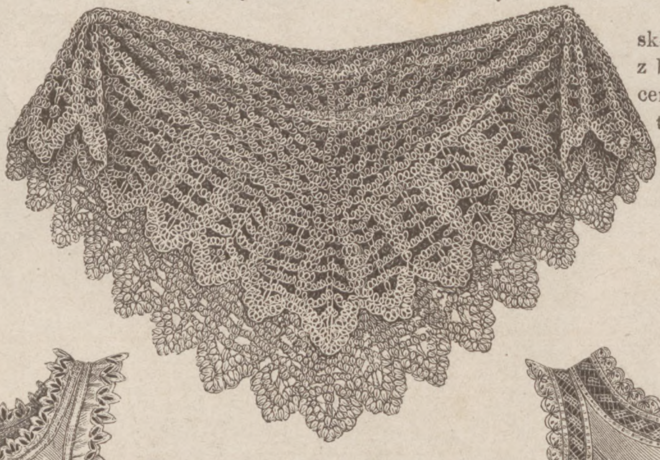
N. 24. Kołnierzyk wykładany do sukni z podłużnym wykrojem. Krój na arkuszu N. XII, Fig. 54—55.

N. 13—22. Ubrania balowe i wizytowe.

Środkową kartę dzisiejszego N-ru (6) poświęciliśmy przedstawieniu całego szeregu toalet balowych i wizytowych, do których odpowiednie kroje znajdą czytelniczki na arkuszach dodanych w końcu przeszłego roku i tegorocznych. Szczegóły podają kolejno niżej zamieszczone opisy tych rycin.

N. 13. Suknia princesse z wyciętym stanikiem, ozdobiona haftem.

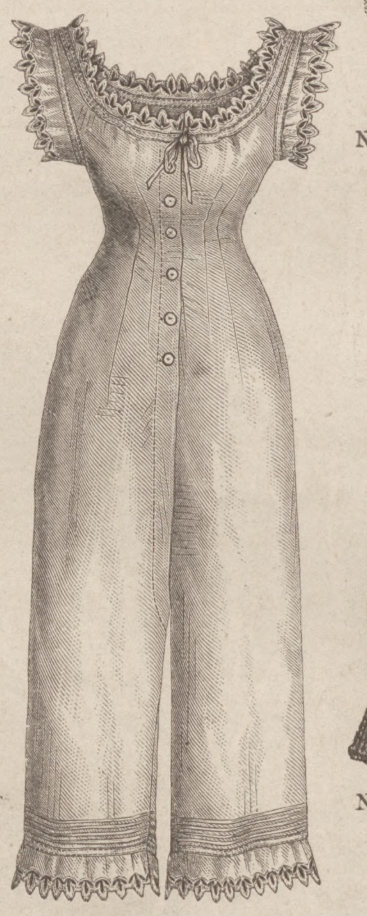
Haftowane przybranie stanika dane jest w kształcie szpiczastego, bardzo przedłużonego bawetu, jaki widzimy na ryc. 13; za tło służy aksamit ciemniejszy niż suknia, haft zaś odrobiony cieniowanym jedwabiem w kolorze sukni i białemi szlifowanemi perełkami. Na ramionach przybranie zwęża się do 4 cent. a z przodu tworzy rodzaj plastronu dochodzącego aż do draperyi, wązko wciętego w pasie. Takież szlaki haftowane na aksamicie dane są na sukni, zdobnej prócz tego plisowaniem i riuszami z gazy, tiulu, krepy lub tarlatanu.



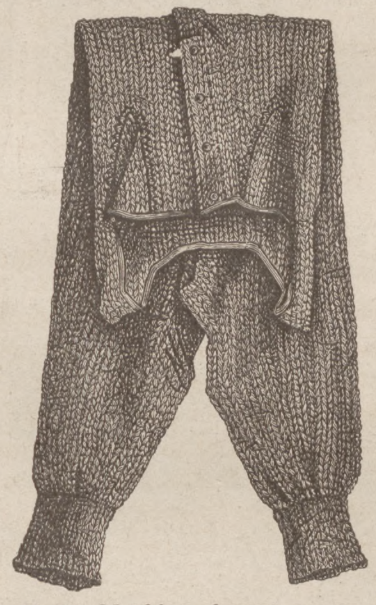
N. 26. Chusteczka szydełkowa z koronką patrz ryc. 25.



N. 30. Sukieneczka dla małego chłopczyka. Patzr ryc. 31. Krój na arkuszu N. V, Fig. 20—25.



N. 27. Majtki ze stanikiem. Patrz ryc. 28 i 27—28 w N-rze 5. Krój na arkuszu N. X, Fig. 49-A—50-a.



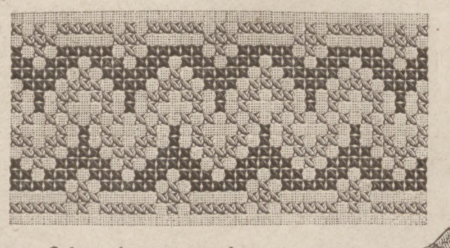
N. 29. Majtki trykotowe z wyciętym stanikiem.



N. 28. Majtki ze stanikiem. Patrz ryc. 27. Krój na arkuszu N. X, Fig. 49-A—50-a.



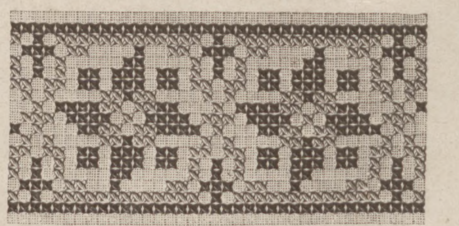
N. 31. Sukieneczka dla małego chłopczyka. Patrz ryc. 30.



N. 32. Szlaczek wyszyty krzyżykami.



N. 34. Pas do przypinania spódniczki, zapięty. Pa rz ryc. 35.



N. 33. Szlaczek wyszyty krzyżykami.



N. 35. Pas do przypinania spódniczki. Strona lewa. Patrz ryc. 34.

N. 14. Suknia princesse z aksamitu i materyi faille.

Aksamit i materya służąca na te świetną toaletę może być do cieniu lub w dwóch harmonizujących z sobą kolorach np. aksamit bordeaux i faille blado-niebieskawa. Garnirunek na sukni liczy 35 cent. średnicy: skośne falbanki są obrębione na wierzch, bufy aksamitne mają z brzegów wązitkie nagłówki a fałdowanie górne jest wysiepane brzegiem. Przód sukni zdobny jest dwoma skośnie naszytemi rzędami buf aksamitnych i rodzajem frendzli niezmiernie modnej obecnie złożonej z czterech pasów materyi (dwa spodnie w kolorze aksamitu) po 8 cent. szerokich a po 7 cent. wysiepanych. Wykrój szyi zakończony jest takiemże garnirunkiem. Na głowie dyadem roboty filigranowej ze srebra.

N. 15. Ubranie strojne wizytowe. Suknia princesse z jasnej materyi zachodząca zupełnie pod szyję ma z przodu rodzaj plastronu z koronki wachlarzowo fałdowanej, który dochodzi do wcięcia stanu i niknie pod paskiem spiętym wielką klamrą. Niżej cały przód sukni składa się z plis zachodzących na siebie, naszytych skośno; z boków przedniego bryta dane fałdowanie z koronki 13 cent. szerokiej. Tylny bryt sukni złożony w fałdy lub spięty kokardą zakończony jest 12 cent. szerokiem plisowaniem, przyszytem na powietrzu. Rękawy półdługie, naszyte kilkoma rzędami koronki, odpowiednio do przedniego przybrania, na głowie pióro strusie przypięte różami.

N. 16 i 19. Suknia balowa ze stanikiem z baskiną.

Spódnica z białej materyi faille, z wielkim trenem, oszyta jest u dołu 20 cent. szeroką falbaną układaną w kontrafałdy, z gładkiego brukselskiego tiulu, z takiegoż tiulu dane na brycie przednim marszczone bufy. Na całą spódnicę zarzucona jest lekka draperya z tiulu deseniowego, oszyta u dołu białą atłasową wstążką, przytrzymana na sukni długą fantazyą z liści i kwiatów. Gładki stanik z materyi faille, sznurowany z tyłu, objęty u dołu atłasową wypustką jest przyozdobiony z przodu tiulowemi bufami, przedzielanemi gałązkami kwiatów.

N. 17. Zarzutka koronkowa.

Odpowiednia do przysłonięcia głowy przybranej balowo, może być upięta z chustki koronkowej, zwróconej rogiem nad czoło, lub też stanowi ją kwadrat jedwabnego deseniowego tiulu.

(Dokończenie nastąpi).

TYGODNIK MOD.

w Warszawie 1878 r.

Dodatek z krojami i deseniami do N. 5 i 6.

N. I. Płaszczyk z szerokiemi rękawami. Rycina 1—2 w N-rze 5.

Fig. 1. Przód (A, B, C, D, G). ═ × ═ × ═

Fig. 2. Połowa pleców (A, B, C, F). × · × · × ·

Fig. 3. Rękaw (D, E) 1 założenie.

Fig. 4. Połowa kołnierza (F, G).

Fig. 1-a—4-a. Zmniejszony format zestawionych razem części kroju Fig. 1—4.



N. II. Stanik wycięty z bawetem. Rycina 34—35 w N-rze 5.

Miara objętości przez połowę: 45 cent. w gorsie, 28 w pasie

Fig. 5. Przód (H, I, M, N, O).

Fig. 6. Boczek (H, I, K, L). • + • + • +

Fig. 7. Połowa pleców (K, L, M, N). * — * — * —

Fig. 8. Rękaw (O, P).

N. III. Suknia princesse bez zaszewek, skośnie zapinana, dla panienki lat 12—14; rycina 2—3 w N-rze 6.

Fig. 9. Połowa przodu zachodząca na wierzch, z oznaczeniem linią kropkowaną połowy idącej pod spód (Q, S, T, U, Y).

Fig. 10. Bok (Q, R, Z).

Fig. 11. Połowa pleców (R, S, T). ○ ═ ○ ═

Fig. 12. Rękaw (U, V, W, X).

Fig. 13. Połowa kieszonki (Y, Z).

Fig. 14. Połowa patki do kieszonki (Y, Z). * * * *

Fig. 9-a—14-a Zmniejszony format zestawionych razem części kroju Fig. 9—14.

N. IV. Bluza dla panów. Rycina 11—12 w N-rze 6.

Fig. 15. Połowa przodów i pleców (a, b, c, f, g, h, i, ', :). 1 założenie formy

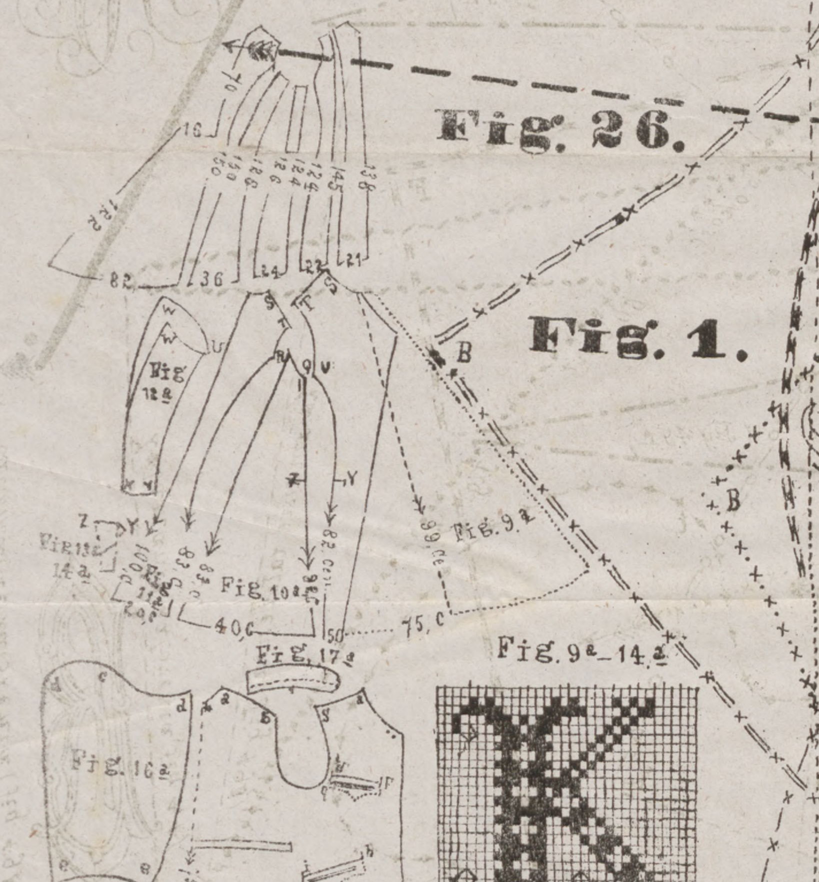
Fig. 16. Rękaw c, d, e). × — × — × —

Fig. 17. Połowa kołnierza (: , ').

Fig. 18. Klapka od górnej kieszeni (f, g). o o o o o

Fig. 19. Klapka od bocznej kieszeni (h, i). — × — × —

Fig. 15-a—19-a. Zmniejszony format zestawionych razem części kroju Fig. 15—19.



N. V. Sukieneczka dla malutkiego chłopczyka. Rycina 30—31 w N-rze 6.

Fig. 20. Przód z odciętym napierśnikiem (k, l, p, q, r, v).

Fig. 21. Boczek (k, l, m, n, o, w, : , ').

Fig. 22. Połowa pleców (m, n, p, q).

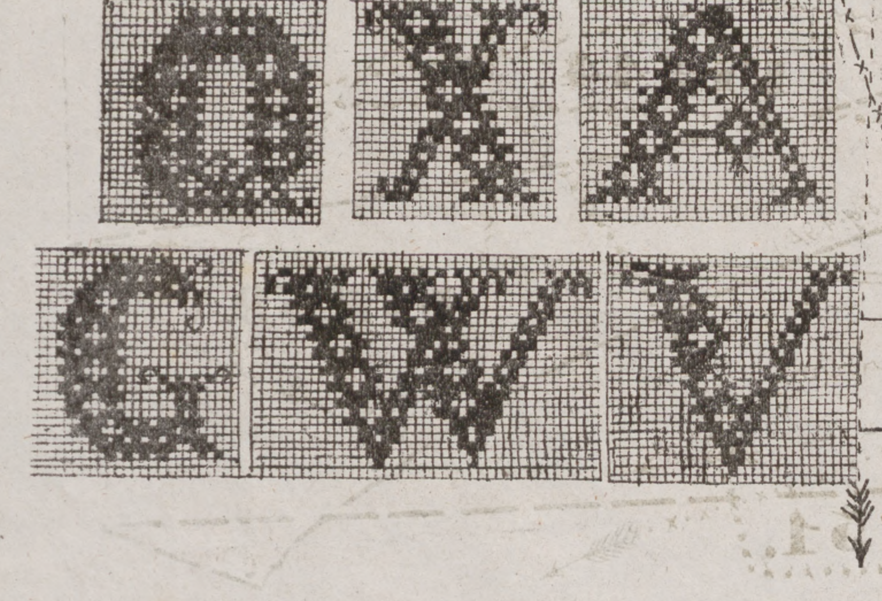
Fig. 23. Patka (: , ').

Fig. 24. Rękaw (r, s, t, n).

Fig. 25. Połowa kieszeni (v, w). + + + + +

N. VI. Suknia princesse z trenem. Rycina 22 w N-rze 6.

Fig. 26. Zmniejszony format kroju dopasowany podług kroju załączonego w naturalnej wielkości na arkuszu do N. 1 i 2 rycina 1—2.





Dodatek z krojami i deseniami do N. 5 i 6.

N. VII. Vêtement z przodem formą plastronu. Rycina 32—33 w N-rze 5.

Miara objętości przez połowę 58 cent. w gorsie, 37 w pasie.

Fig. 30. Przód (A, C, D, E, K, *, .).
Fig. 31. Bok (A, B, *). × • × • × •
Fig. 32. Połowa pleców (B, C, D, I, X 1 i . 1).
Fig. 33. Połowa plastronu (C, K). jedno założenie × — × —
Fig. 34. Rękaw (E, F, G, H).
Fig. 35. Kołnierz (I, K).
Fig. 30-a—35-a. Zmniejszony format zestawionych razem części kroju Fig. 30—35, z odznaczeniem przybrania.

N. VIII. Gorset z pasem, ryc. 25 w N-rze 5.

Miara objętości przez połowę 51 cent. w gorsie, 33 w pasie.

Fig. 36. Przód (L, M, N, O, R, S, X, . , +, *).
Fig. 37. Pierwszy klinik górny (L, M, .). — × — × —
Fig. 38. Drugi klinik górny (N, O, +).
Fig. 39. Pierwsza część baskiny (P, Q, R).
Fig. 40. Druga część baskiny (P, Q, S, Y).
Fig. 41. Połowa pleców (T, U, V, W, X, Y).
Fig. 42. Klinik na biodra (T, U, V, W).
Fig. 43. Pas (R, *). + + + + +

N. IX. Spódnica z długim trenem wszyta w pas przedłużony z tyłu; rycina 20—21 w N-rze 5.

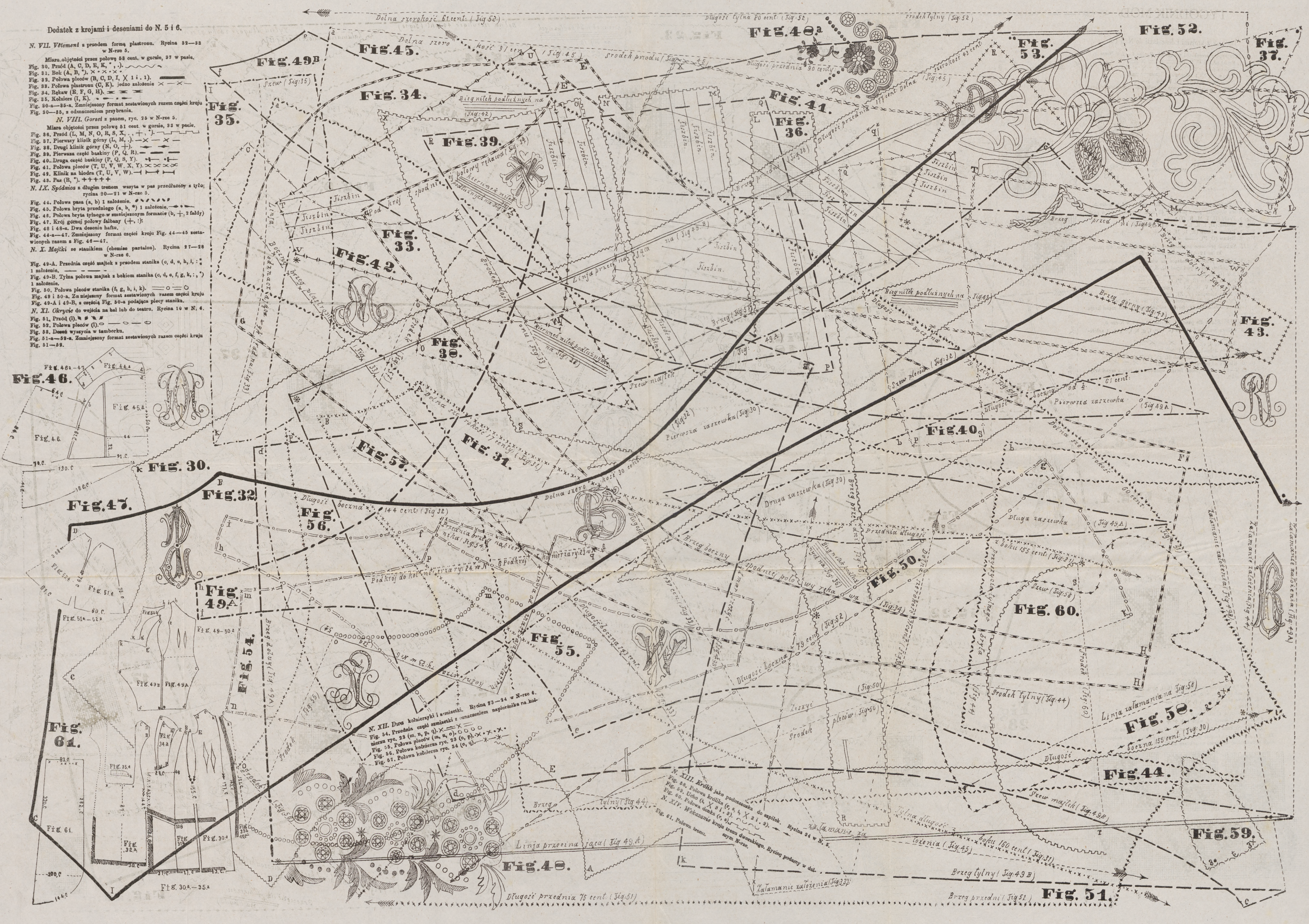
Fig. 44. Połowa pasa (a, b) 1 założenie.
Fig. 45. Połowa bryta przedniego (a, b, *) 1 założenie.
Fig. 46. Połowa bryta tylnego w zmniejszonym formacie (b, +, 2 fałdy)
Fig. 47. Krój górnej połowy falbany (+, :).
Fig. 48 i 48-a. Dwa desenie haftu.
Fig. 44-a—47. Zmniejszony format części kroju Fig. 44—45 zestawionych razem z Fig. 46—47.

N. X. Majtki ze stanikiem (chemise pantalon). Rycina 27—28 w N-rze 6.

Fig. 49-A. Przednia część majtek z przodem stanika (c, d, e, h, i, :) 1 założenie.
Fig. 49-B. Tylna połowa majtek z bokiem stanika (c, d, e, f, g, k, :, *) 1 założenie.
Fig. 50. Połowa pleców stanika (f, g, h, i, k).
Fig. 49 i 50-a. Zmniejszony format zestawionych razem części kroju Fig. 49-A i 49-B, z częścią Fig. 50-a podająca plecy stanika.

N. XI. Okrycie do wejścia na bal lub do teatru. Rycina 10 w N. 6.

Fig. 51. Przód (l).
Fig. 52. Połowa pleców (l).
Fig. 53. Deseń wyszycia w tamborku.
Fig. 51-a—52-a. Zmniejszony format zestawionych razem części kroju Fig. 51—52.



N. XII. Dwa kołnierzyki i szmizetki. Rycina 23—24 w N-rze 6.

Fig. 54. Przednia część szmizetki z oznaczeniem napierśnika na kołnierzu ryc. 23 (m, n, p, q).
Fig. 55. Połowa pleców (m, n, o).
Fig. 56. Połowa kołnierza ryc. 23 (o, p).
Fig. 57. Połowa kołnierza ryc. 34 (o, q).

N. XIII. Królik jako poduszeczka do szpilek. Rycina 24 w N. 5.

Fig. 58. Połowa królika (r, s, t, X 2 i . 2).
Fig. 59. Ucho (t, X 3 i . 3).
Fig. 60. Połowa denka (r, s).

N. XIV. Wskazanie kroju trenu dworskiego. Rycinę podamy w dalszym N-rze.

Fig. 61. Połowa trenu.